

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 wrzesień 2017, nr 16



Gmina w obiektywie

Przy ulicy Sadowej w Mrokowie, w sadzie Anny i Jana Gocelów, o których pisaliśmy w czerwcu ubiegłego roku („Nad szklaneczką jabłkowego soku”), zaczął się zbiór jabłek odmiany Gala Must.

Wiosenne mrozy nie zaszkodziły drzewom i jak widać obrodziły zupełnie przyzwoicie. Owoce, jak mówią fachowcy: „o gładkiej skórcie, pokryte w całości ciemnym, karminowoczerwonym rozmytym rumieńcem”, wyglądają jak porzrzućane wśród zieleni ogromne korale. Miło popatrzeć.





40



7



24



30



22

Spis treści

6 Od Redakcji

7 Sierpniowy chłopak

...dziadek urodził się w sierpniu, ojciec mój urodził się w sierpniu, ja się urodziłem w sierpniu

14 W parku przy Dworkowej

...jest, jak się okazuje, prosta recepta na udaną imprezę

16 Mój Everest

...nic nie widać, tylko woda dookoła i walka z falą

22 Czytamy „Wesele”

...był zastawiony weselny stół i była muzyka. Byli goście, wspólne śpiewy i tańce

24 List kardynała

...kupiliśmy działkę vis-à-vis dzwonnicy i zaczęliśmy budować dom

30 Przed podróżą

...mamy i tatusiowie po raz pierwszy przyprowadzili swoje pociechy do nowej szkoły w Łazach

32 Trzeba pracować głową

...gdybym postawił na Republikę Południowej Afryki, to wcześniej zająłbym się tymi strusiam

37 Piknik w Stefanowie

...Stefanowo, o czym dowiedziałem się później, było potocznie nazywane „Ukrainą”

40 Żeby tak rozwinąć skrzydła

...mój tata chciał ze mnie zrobić sportowca. Koniecznie łyżwiarkę figurową

46 A potem zawyły syreny

...do gaszenia pożaru przystąpili najmłodszy ochotnicy

48 Nie tylko powidła

...koniec lata i pierwsze jesienne miesiące, to pora dojrzewających śliwek



16



32



46



Od Redakcji

Minęły wakacje i z przyjemnością wróciliśmy do pracy nad wrześniowym numerem naszego miesięcznika. Mamy nadzieję, że i Państwo, Czytelnicy „mojej Lesznowoli”, czekali z niecierpliwością, kogo tym razem z mieszkańców naszej gminy przedstawimy i o czym napiszemy.

Przypomnę, że to także zależy od tego, kogo nam Państwo wskażecie, jako człowieka ciekawego, którego warto poznać i o kim warto opowiedzieć. Wystarczy zatelefonować lub napisać na adres redakcji.

W tym numerze „mojej Lesznowoli” opowiadamy o spotkaniu z pewną mieszkanką Łaz, do której napisał list ksiądz kardynał Kazimierz Nycz i o spotkaniu w Krzywej Iwicznej z autorką między innymi bajkowych kotów.

Przybliżamy Czytelnikom sylwetkę najdłużej urzędującego w naszej gminie sołtysa, który hoduje konie, opowiadamy o mieszkańcu Wilczej Góry, który w lipcu zrealizował swój pomysł i przepłynął w pław jezioro Śniardwy, przedstawiamy profesora, który jako chłopak założył drużynę Utrata Jastrzębiec, a dziś jest uznanym w świecie specjalistą od badań na strusiach.

Odnotowujemy też wydarzenia, jakie miały miejsce w naszej gminie w ostatnich dniach sierpnia i we wrześniu. Mamy więc fotorelację z „Pieczenia ziemniaka”, ze wspólnego czytania „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, ze spotkania integracyjnego w Stefanowie, otwarcia nowej szkoły w Łazach i dorocznego święta OSP w Mrokowie.

W kuchni tym razem królują śliwki.
Miłej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069



Sierpniowy
chtopak

– Dlaczego Jazgarzewszczyzna była i jest przed Łoziskami, choć Łoziska zawsze były większe? Wieś miała większy areał ziemi i więcej ludności – zastanawia się Marian Lubedkin, od trzydziestu czterech lat sołtys obu wsi. Może to z powodu alfabetu, w którym J jest przed Ł? A może dlatego, że Łoziska dopiero w 1972 roku odłączone od Piaseczna weszły w skład Jazgarzewszczyzny?

Tak zaczęliśmy rozmowę, ale to był problem, który zaprzętał naszą uwagę dokładnie tyle, ile trwa przeczytanie tych zdań. Potem rozmawialiśmy o życiu pana Mariana w Jazgarzewszczyźnie. Ustaliliśmy, że pierwszy sołtys we wsi, Władysław Har, sprawował urząd trzydzieści cztery lata, z dwuletnią przerwą, bo w 1939 roku poszedł na wojnę i dwa lata przesiedział w niewoli. Po nim przez szesnaście lat sołtysiem był Stefan Adamiak. Kiedy w 1983 roku z uwagi na podeszły wiek zrezygnował z kandydowania, jedynym kandydatem na sołtysa był Marian Lubedkin. Został wybrany.

– Przez pierwsze dziesięć lat, czyli do 1993 roku – mówi pan Marian – łatwo było być sołtysiem. Stu paru mieszkańców wsi uważało, że jak sołtys coś powiedział, jak przyniósł jakieś pismo z gminy, to trzeba było tak zrobić.

Jak dla przykładu z gminy przyszedł nakaz, że ma być kontrola czystości posesji, to sołtys szedł do

gospodarza i mówił: „Weź, uprzątnij ten bałagan, bo ma być kontrola. Masz na to tydzień. Wywieź te graty gdzieś za stodołę, schowaj, gdzie chcesz, ale zrób porządek, żeby jak ktoś obcy wejdzie na podwórku, było czysto”. I gospodarz słuchał.

Teraz takiej sytuacji nawet wyobrazić sobie nie można. Niby sołtys ma niepisane prawo wejść na podwórko, ale każdy może powiedzieć: „Przepraszam, spadaj z mojej posesji. To jest prywatna własność i mogę robić, co chcę”. Dawniej nie do pomyslenia.

Dziś, kiedy starzy mieszkańcy powymierali, gospodarstwa przejęły dzieci i wnuki, kiedy nowi mieszkańcy przybywają z całej Polski, niewiele ich łączy z miejscem zamieszkania. Co najwyżej adres.

Porozrywały się sąsiedzkie więzi, coraz trudniej o integrację i wspólny interes. Jak mówił klasyk: „To je ważne, co je moje”. Dawniej na wsi było inaczej.

fot. z archiwum prywatnego państwa Lubedkinów



Dzieciństwo na bosaka

– Urodziłem się tu, w gospodarstwie. To była moja wieś, tu mieszkali moi dziadkowie i rodzice.

Mama, Helena, była mieszkanką Jazgarzewszczyzny. Ojciec mój, Jan, pochodził zza Warki. Umarł dwadzieścia cztery lata temu. Jego ojciec, czyli mój dziadek Władysław Lubedkin, był przed wojną rotmistrzem w oficerskiej szkole kawalerii w Grudziądzu. W 1920 roku szedł z Józefem Piłsudzkim na Kijów. Ranny pod Jarosławiem odszedł z wojska w 1924 roku.

W domu było nas czworo rodzeństwa. Dwie starsze siostry i cztery lata ode mnie młodszy brat.

Dziadek Władysław Lubedkin urodził się w sierpniu, ojciec mój urodził się sierpniu, ja się urodziłem w sierpniu, mój brat też urodził się w sierpniu i brata syn urodził się w sierpniu. Tylko mój syn urodził się w lipcu, choć tak chciałem, żeby też był sierpniowy, bo cały ród Lubed-

kinów był sierpniowy. Trudno. Nie udało się. Coś źle wykombinowałem.

Rodzice mieli gospodarstwo i jak wszyscy wokół uprawiali warzywa. Jak na ten rodzaj produkcji, obszar prawie ośmiu hektarów to było dużo. Pamiętam, że kiedy byłem w trzeciej, czwartej klasie szkoły podstawowej, to jeździłem z ojcem konnym wozem do Warszawy na Koszykową i na Grójecką koło Banacha, bo tam był bazar. Jednego razu trafiła się handlarka z bazaru Różyckiego na Pradze, to ojciec koło Pałacu Kultury, Alejami Jerozolimskimi, przez most Poniatowskiego, bo wtedy można było nocą jeździć wozem konnym, zawiózł jej towar na Stalową.

Czasem jeździło się na targowisko przy placu Szembeka. W Pyrach, po drugiej stronie restauracji Baszta, przy ciuchci, był posterunek milicji. Ciuchcia jeździła do Gołkowa, z Gołkowa do Grójca i do Nowego Miasta. Ja to pamiętam.

Kiedy miałem cztery lata, musiałem boso chodzić po rżysku, zbierać kłosa w kupkę i nosić do domu. Mając pięć, sześć lat, boso biegałem za pługiem i zbierałem każdy wyorany przez ojca kartofel.

Nie pamiętam, żeby miałem w dzieciństwie jakąś zabawkę. Stara obręcz z koła od roweru, drut szóstka zgięty na popychaczkę i to była jedyna zabawka, za którą się na bosaka biegało.

Mnie mama kanapek do szkoły nie robiła. Zjadałem śniadanie i biegłem do Krauzówki. Była to jedna z najlepszych szkół podstawowych w Zalesiu Dolnym.

Po podstawówce chodziłem do szkoły rolniczej w Chyliczkach. Tam, gdzie jest technikum hodowlano-drobiarskie. Było nas w tej szkole tylko czterech chłopaków wśród gromady dziewczyn. Ze wsi byłem tylko ja i tylko ja miałem pojęcie o rolnictwie. Powiatowym lekarzem weterynarii był bardzo porządny starszy pan, nazywał się Morawski.

W szkole było drobiarstwo, ale mnie kury kompletnie nie interesowały. Była obora, było osiem godzin zajęć praktycznych i osiemnaście



przedmiotów. Łatwo nie było, bo poziom w tej szkole był wysoki. Ja trzymałem się zawsze przy lekarzu weterynarii, bo to mnie interesowało i było w gospodarstwie bardzo przydatne. Nauczyłem się robić zastrzyki, asystowałem przy porodach zwierząt.

Kiedy zachorowała moja babcia na ciężką cukrzycę, to trzeba jej było codziennie robić zastrzyki. Za każde przyjęcie pielęgniarki trzeba było zapłacić „kopernika”, więc po pół roku ja zacząłem robić babci zastrzyki. Przez półtora roku wstrzykiwałem babci insulinę. Ponieważ nie było strzykawek jednorazowych, to pamiętam, jak mama igły w szkatułce gotowała.

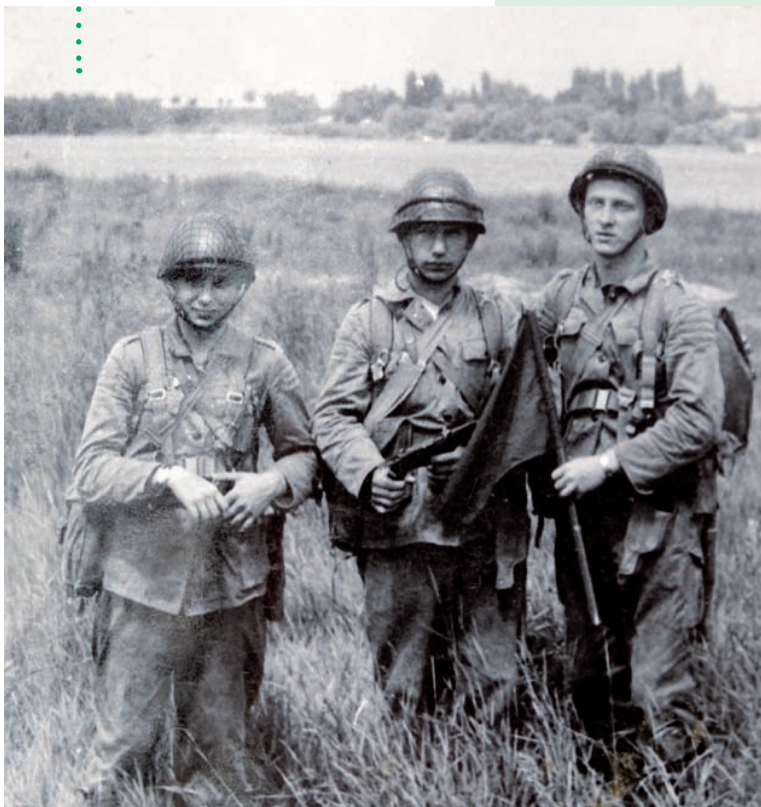
Babka umarła w 1970 roku, kiedy miałem zaczynać trzecią klasę w szkole w Chyliczkach. Ponieważ w szkole coraz większą wagę przykładano do drobiarstwa, zostawiłem Chyliczki i przenieśliśmy się do technikum ogrodniczego w Sochaczewie. Zaliczyli mi te dwa lata w Chyliczkach i maturę zrobiłem w 1973 roku. To była bardzo dobra szkoła.



Kapliczka postawiona nocą

– Z dzieciństwa pamiętam jeszcze to, co opowiadała mi mama.

W Piasecznie, naprzeciw sądu, tam gdzie teraz jest pogotowie, był powiatowy posterunek milicji, a od strony Sierakowskiego był areszt i mój ojciec z sąsiadem Janem Świątkiem w 1949 roku siedzieli tam dwa tygodnie.



Za co siedzieli? Za kapliczkę u zbiegu ulic Leśnej i Krzywej. Był czas komuny, a oni w nocy postawili na rogu kapliczkę.

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, w Jazgarzewszczyźnie był tunel. Górą jeździła kolej, a dołem było przejście dla pieszych. Podczas Powstania Niemcy postawili w 1944 roku nad tunelem „grubą Bertę”, najpotężniejsze swoje działo, i prowadzili ostrzał Warszawy. Berta wystrzeliwała codziennie tylko dwa pociski. Więcej nie mogła, bo się potwornie grzała lufa. W związku z tym były tu straszne walki i bombardowania. Ponieważ jakimś cudem nikt z mieszkańców nie zginął, ojciec ze Świątkiem, Michałem Witkowskim i jego bratem Janem Witkowskim postawili nocą kapliczkę. Michał Witkowski murował, reszta robiła za pomocników.

Postawili kapliczkę i ktoś usłużny doniósł na UB. Przyszli, zabrali ojca i Świątkę, dali im po gębę i posadzili w areszcie. Siedzieli dwa tygodnie. Ponieważ w areszcie szyby były powybijane, matka nocą nosiła ojcu mleko, chleb, kiełbasę i podawała przez dziury w oknach.

Nazwisko Lubedkin

– Pytacie, co to za nazwisko Lubedkin? Skąd się wzięło? Mnie to też nurtowało. Nim przyszedłem na ojcowiznę, pracowałem w PKS-ie jako kierowca. Jeździłem po całej Polsce wielką jak TIR ciężarówką, a wtedy przepisy były takie, że nie można było ciężarówką wracać na pusto, tylko trzeba się było meldować w punkcie PSK (Polska Spedycja Krajowa) w danym mieście i tam otrzymywało się dyspozycję, gdzie jechać po ładunek powrotny.

Pamiętam, pojechałem do Szczecina z papierem z fabryki w Jeziornie, wyładowałem towar i pojechałem po dyspozycję do tego PSK. Daję pracownicy w okienku dokumenty, a ona mnie pyta: „Co to za nazwisko Lubedkin? To jakieś obce, nie polskie. – Proszę pani – mówię – ja jestem z krwi i kości Polakiem. Moja matka była z domu Chmielewska, a jej matka z domu Postek. – Nie, nie, to musi być chyba nazwisko węgierskie” – stwierdziła pracownica PSK.

Pojechałem do Rzeszowa, a tam znowu dyskusja o nazwisku. „To jest z pewnością nazwisko litew-

skie”. W Krakowie mi mówią, że żydowskie.

To może jest żydowskie, ale moja synowa sprawdziła, że jest jakaś żydowska – nie moja – rodzina w Ameryce, której nazwisko pisze się przez „t” – Lubetkin.

Kiedyś na dyspozytorni we Wrocławiu czekałem na przydział towaru i pani w okienku zapytała mnie, czy ten kierowca, który przyjeżdża z Siedlec, to mój krewny, bo ma takie samo nazwisko. – Niestety – odpowiedziałem. Mój dziadek nie miał rodzeństwa. Ani brata, ani siostry. Jak umarli mu rodzice, miał chyba dwa czy trzy lata. Tak więc sprawa nazwiska pozostała niewyjaśniona do dziś.

Smutne, ale tak jakoś w tym naszym Lubedkinów życiu się składa, że mój ojciec też nie pamiętał swojej matki. Kiedy umarła, miał chyba cztery latka. Wychowywali go wujowie.

A propos, przypomniała mi się historia opowiadana w domu, jak mój ojciec poznał mamę. Poznał ją przez swojego przyszłego teścia. Było to tak. Ojciec był w AK, w partyzantce. Walczył gdzieś pod



Kozienicami, Magnuszewem, Mniszewem, w tamtych okolicach. Tam Niemcy byli wcześniej niż tu u nas. Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, dowódca oddziału i ojciec z wujem przez most pontonowy pod Żelichowem przez Garwolin wrócili do Warszawy, by walczyć.

W Warszawie ojciec poznał innego powstańca, Jana Chmielewskiego. Ten dał mu adres do swojej rodziny. Chmielewski zginął w Powstaniu trzydziestego września i został pochowany na Służewcu. Ojciec odnalazł rodzinę i poznał siedemnastoletnią córkę Chmielewskiego, która została jego żoną i naszą mamą.

Wtedy były takie czasy, że ślub kościelny nie był obowiązkowy. W magistracie w Piasecznie ojciec wziął dwóch świadków i tak zostali mężem i żoną. Ten ślub był potrzebny, żeby ochrzcić córkę, która im się przed ślubem urodziła, a której ksiądz w parafii św. Anny w Piasecznie bez aktu ślubu ochrzcić nie chciał. Tak więc jednego dnia był i ślub, i chrzciny.

Moje konie

– Wszystko zaczęło się od dziadka, starego kawalerzysty. Gdy gospodarstwo przejął mój ojciec, była

bieda. Niemcy, odchodząc po wojnie, wszystko chłopom pozabierali. Nawet wiadra do studni nie było, bo był przydział – jeden kubel na całą wieś.

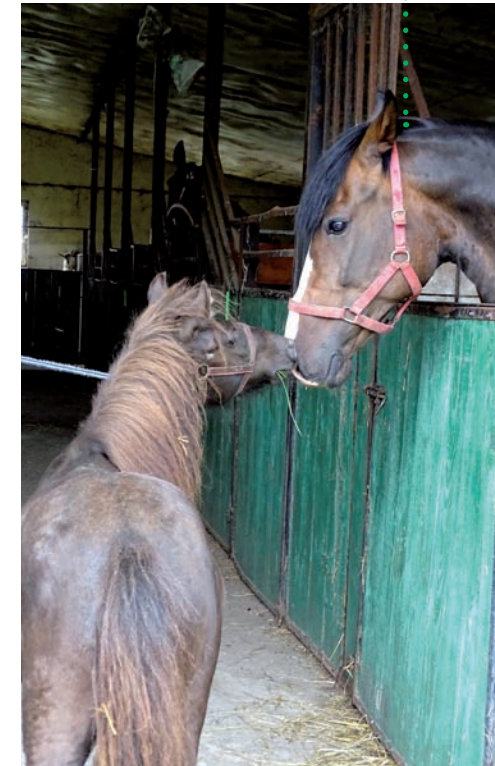
Ojciec miał najpierw jednego konia, potem dwa, ale to były typowe chłopskie konie do roboty w polu. O konie lepiej dbał niż o siebie. W Jazgarzewszczyźnie był kowal i co trzy miesiące koń musiał być rozkuty i okuty na nowo, bo nasze konie chodziły do Warszawy, a bruk niszczył podkopy.

Ojciec nie miał klaczy, tylko walczy, bo takie były do pola lepsze. Potem przyszedł okres, gdy miał trzy konie. Dwa ciężkie do pluga, kultywatora i przyczepy, a jednego lżejszego do upraw międzyrzędowych w kapuście czy marchwi.

Potem, kiedy ja przejmowałem gospodarstwo po ojcu, koni do pracy już w gospodarstwie nie było. Mieliśmy taką małą, starą klacz – konika polskiego, ale tylko po to, by rano zarżała. By rżeniem witała gospodarza.

Ja dziś bez zegarka wstaję o piątej rano. Wypijam małą kawę i idę po cichutku do stajni. Jestem jakieś dziesięć metrów przed stajnią i już konie wiedzą, że idę, już po kolei rżą.

Moja przygoda z końmi zaczęła się w 1985 albo 1986 roku. Najpierw kupiłem sobie dwa tarpany ze stad-



niny konika polskiego w Popielnie. Pobudowałem stajnie i pomału kupowałem konie do hodowli. Jestem zakochany w gorąckrwiastych koniach rasy wielkopolskiej. To piękne konie do jazdy wierzchem. W pewnym okresie miałem ich u siebie dwadzieścia osiem.

Mam też jednego walijskiego kuca, który ma bardzo łagodny charakter i doskonale nadaje się jako wierzchowiec dla dzieci.

Jak się klacz ożrebi, to ja trzymam konia do pierwszego obuczenia. Dwa lata. Później sprzedaję. Klacze zostawiam. Ostatnio sprzedawałem dwa konie pod francuską granicę i była to bardzo ciekawa historia.

Jechałem bryczką do Zalesia. W zaprzęgu były dwa konie. W pewnym momencie dostrzegłem, że jakaś dziewczyna robi nam ze swojej posesji zdjęcie. „Pewnie nie widziała takiego pojazdu albo takich koni” – pomyślałem i zapomniałem o tym nieistotnym na pozór fakcie.

Za kilka dni przyjeżdża do mnie ta dziewczyna z jakimś gościem. Po kilku zdaniach poznaję, że to znajomy elektryk z czasów, gdy byliśmy młodzi i pracowaliśmy w PKS. Ja byłem kierowcą, a on elektrykiem. Dziś on jest przedsiębiorcą, a ja hodowcą koni.



Okazało się, że dziewczyna, która robiła zdjęcie jadącej bryczki, to jego córka. Pokazała ojcu zdjęcie, a on mnie na zdjęciu poznał i odnalazł. Ogląda te moje konie, ogląda, ja mu demonstruję, jakie są mądre. Pokazuję mu, że potrafią się ze mną położyć, że jak mówię do jednego: „Przytul się Pieszczoch”, to on kładzie głowę na moim ramieniu i się przytula. Słowem cyrk.

Znajomy popatrzył i pyta: „Marian, nie sprzedałbyś tych koni?” – Jakby się trafił dobry kupiec, to czemu nie” – odpowiedziałem. Tak się rozstaliśmy.

On te zdjęcia wysłał do swojego kolegi, Niemca, który miał pod

francuską granicą gospodarstwo agroturystyczne i poszukiwał oryginalnych koni do swojej bryczki. Te moje pasowały mu jak ulał. Za jakiś miesiąc zajeżdża do mnie mercedes z przyczepą do przewozu koni. Ja mam piękną przyczepę Heinemann, z której byłem bardzo dumny, ale jak zobaczyłem tę jego, hotel na kółkach, to mi szczęka opadła.

Miejsce na siodło, łazienka, ręczniki, pojemniki na wodę, miejsce na siano – brak słów. Obejrzał konie, załatwiliśmy formalności, zapłacił, dałem mu na drogę belkę siana, worek marchwi, napełniliśmy zbiornik wodą i odjechał. Na drugi dzień

zatelefonował, że szczęśliwie dojechali do domu.

Zostało mi teraz czternaście koni, kucyk, którego Bożena, moja żona, w ubiegłym roku wygrała na loterii w OSP Mroków, i koza. Też wygrana na loterii. Jak ktoś ma szczęście, to ma i kozę – piękną Tosię, i kucyka. Z kucyka najbardziej cieszą się wnuki, a mam ich troje, bo chodzą z nim na spacer jak z psiakiem. Kucyka nazwały Maciek. Na loterię podarował go Stasiak Kiljańczyk. Gdyby go teraz zobaczył, toby go nie poznał. Sierść aż mu się świeci, tak mu u nas dobrze. ■

Towarzyskie spotkania z okazji „Pieczenia ziemniaka”, czyli Sołecki Piknik Rodzinny w Lesznowoli, stają się powoli w naszej gminie tradycją. Jest wspaniałe miejsce na terenie parku przy Dworkowej i jest, jak się okazuje, prosta recepta na udaną imprezę, w której uczestniczą całe rodziny.

W parku przy Dworkowej



Dobra kuchnia, trochę kolorowych, odpustowych straganów, oferta dla dzieci i oczywiście darmowe, pieczone ziemniaki z naszych pól. Jeśli jeszcze w tle słyhać znajome melodie, które każdy chętnie zanuci, to powodzenie imprezy gwarantowane. Tak było właśnie w ostatnią, zwiastującą koniec wakacji sobotę sierpnia.



Najwięcej radości miały oczywiście dzieci. To dla nich wybudowano dmuchane miasteczko z wszelkiego rodzaju zjeżdżalnicami i dla nich zabawę w wojsko przygotowała grupa rekonstrukcyjna Devil Dogs. A ponieważ zabawa w wojsko to ulubiona zabawa dzieci, a także wielu dorosłych, to kolejka chętnych do pokonania toru przeszkód i strzelania była długa.

Bracia Seweryn i Krzysztof Mączyński, o których pisaliśmy w sierpniu ubiegłego roku („moja Lesznówola nr. 3 „Chłopaki z cienia”) tym razem z cienia wyszli i pokazali przygotowane w ich warsztacie rajdowe samochody. ■





Kiedy Adrian Kociszewski, mieszkaniec Wilczej Góry, obiegł kulę ziemską, postanowił spełnić kolejne swoje marzenie. Przepłynąć wpław w najszerszym miejscu jezioro Śniardwy. W niedzielę 23 lipca o godzinie ósmej rano w Popielnie wszedł do jeziora.



Mój Everest



fot. z archiwum prywatnego Adriana Kociszewskiego

pod Kockiem. Gdy doszedł do zdrowia, walczył w szeregach Armii Krajowej na Mokotowie, za co otrzymał Krzyż Partyzancki, a potem brał udział w wojnie partyzanckiej. W 1995 roku z rąk prezydenta RP Lecha Wałęsy odebrał Złoty Krzyż Partyzancki.

Zanim na dobre skończyła się wojna, do mieszkania dziadków wśród gruzów na Mokotowie zapukali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Aresztowali dziadka i zgodnie z obowiązującą linią propagandową „jako zapłutego karła reakcji” wsadzili do więzienia na długie osiem lat.

Kiedy dziadkowie użyźniali wydmy i zaczęli szkółkarstwo, Adrian chodził do szkoły rolniczej w Piasecznie, a potem do technikum ogrodniczego na Chyliczkowskiej. Dyplom technika odebrał w 1988 roku i przeniósł się do dziadków. Wkrótce przejął po nich gospodarstwo i dalej prowadził szkółkarstwo. Zadrzewiał wydmy, sprzedawał drzewa i krzewy ozdobne.

Tu też zaczęła się trzydziestoletnia przygoda pana Adriana ze sportem.

Od karate do Ironmana

– Moja przygoda ze sportem zaczęła się w 1983 roku – mówi Adrian Kociszewski – kiedy w szkole zapisałem się na karate. Klasyczne karate, stworzone na Okinawie w Japonii, fascynowało mnie jako sztuka walki obronnej bez użycia jakiegokolwiek broni. Puste ręce i technika.

Potem przyszedł czas na modern karate, które bardziej koncentrowało się na sportowej walce i gdzie decydowała szybkość wykonywania techniki.

Trzecim etapem było połączenie karate z boksem, czyli kickboxing. Na rękach rękawice, stosowanie ciosów i kopnięć.

O Adrianie Kociszewskim dowiedzieliśmy się przypadkiem od pani doktor weterynarz Anny Duranowskiej-Filipowicz, która jest Czytelniczką „mojej Lesznówoli”. Podczas jednej z wizyt wspomniała o znajomym z Wilczej Góry, który pływa po kilkadziesiąt kilometrów i który właśnie planuje przepłynąć jezioro Śniardwy.

Informacja była na tyle interesująca, że zatelefonowaliśmy do pana Kociszewskiego. Potwierdził zamiar przepłynięcia jeziora i zaproponował, abyśmy spotkali się na rozmowę dopiero, gdy wróci z Mazur. Spotkaliśmy się w ostatnim tygodniu lipca.

Krótką historia rodzinną

Parę hektarów „piaszczystej wydmy” w Wilczej Górze, jak mówiła babcia pana Adriana, dziadkowie kupili po wojnie. Wystarczyło na sztych lub dwa wbić łopatę, żeby odkryć piach. Metr po metrze użyźniali ugor, sadzili drzewa i krzewy. Kiedy jechaliśmy świerkową aleją pod dom, nie mogliśmy uwierzyć, że tak było. To wszystko zasługa dziadka Zdzisława i babcy Lucyny, warszawiaków, którzy po wojnie zostawili Warszawę i wzięli się za uprawę ziemi, a dokładnie za szkółkarstwo.

Dziadek Zdzisław jako żołnierz brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Siódmego października, a więc zaraz na początku wojny, został ranny w bitwie

Niestety, nie był to szczęśliwy wybór. Po treningach wracałem do domu obolały, posiniaczony i poobijany. Szybko stwierdziłem, że to nie jest sport dla mnie. Zostawiłem więc sporty walki i zacząłem biegać.

Pamiętam, mieszkaliśmy jeszcze z mamą na Czerniakowskiej i wystartowałem w biegu dookoła Łazienek Królewskich. Bardzo mi się to bieganie spodobało. Wychodziłem z domu na rogu Czerniakowskiej i Chełmskiej, biegłem deptakiem nad Wisłą do Klubu Sportowego „Spójnia Warszawa”. Przy klubie kończył się deptak, więc zwracałem i biegłem z powrotem do rogu Chełmskiej i Czerniakowskiej. Razem szesnaście kilometrów. Ten dystans pokonywałem dwa razy w tygodniu.

Po dwóch latach takiego biegania wystartowałem w dziesiątym jubileuszowym Maratonie Warszawskim. Mieszkałem już w Wilczej Górze u dziadków i startowałem w kolejnych maratonach. Od tamtego czasu nie opuściłem żadnego Maratonu Warszawskiego.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zafascynował mnie triathlon. Łączył pływanie, jazdę na rowerze i bieganie. Nie pamiętam, w ilu triathlonach brałem udział, bo były i olimpijskie, czyli takie, gdzie pływanie było na dystansie półtora kilometra, czterdzieści kilometrów na rowerze i bieg na dziesięć kilometrów.

Najważniejszym biegiem w mojej sportowej przygodzie był start w pełnym triathlonie na Węgrzech, czyli tak zwany Ironman. W tym triathlonie startowałem przez cztery kolejne lata, od 1992 do 1995 roku.

Zawody składały się z pływania na dystansie 3860 metrów, jazdy rowerem na dystansie 180,2 km i biegu na dystansie 42,195 km. Zachowałem z tamtego czasu listy wyników i jak relikwie przechowuję moje numery startowe z zawodów.

W tamtych czasach jazda na Węgry to była prawdziwa wyprawa. Najpierw całą noc pociągiem z Warszawy do Katowic, potem z moim serdecznym kolegą Edwardem Młaskawą, który mnie zresztą na starty w tych zawodach namówił, nocnym autobusem z Katowic do Budapesztu. Następnie metrem z dworca Keleti do Budapesztu Deli.

Tam wsiadaliśmy w kolej węgierską i jechaliśmy kilka godzin wśród pól kukurydzy na południe Węgier pod samą jugosłowiańską granicę. Nigdy nie zapomnę tego widoku i zapachu kukurydzianych pól. Następnie przesiadaliśmy się do kolejki wąskotorowej i jechaliśmy do miejscowości Nagyatád. Po dniu odpoczynku startowaliśmy w zawodach.

Ostatnim razem w 1995 roku pojechaliśmy małuchem. Dwóch facetów i dwa rowery na dachu fiata 126p. Wspaniała, niezapomniana podróż. Proszę się nie śmiać, to był naprawdę bardzo pakowny samochód. Wszystko, co potrzeba, nam się w nim zmieściło.

Odkąd zacząłem biegać, nie opuściłem startu w żadnym Maratonie Warszawskim. Mam ich na koncie chyba dwadzieścia siedem. Trenuję, biegając w lasach



Magdalenki i do Zalesia, zależnie od tego, jaki dystans zaplanowałem do przebiegnięcia. Naszą gminę przebiegłem wzdłuż i wszerz pewnie dziesiątki razy.

Bolesne doświadczenie

– W 1996 roku namówiony przez Edwarda wystartowałem w biegu na sto kilometrów. To była bardzo dziwna historia. Bieg był w Kaliszu a limit na pokonanie trasy wynosił dwanaście godzin. Przed samym Kaliszem skończył mi się limit i organizatorzy kazali mi zejść z trasy i wsiąść do samochodu. Nie ukończyłem tego biegu.

To było bardzo bolesne przeżycie. Meta była przecież tuż - tuż. Przebiegłem dziewięćdziesiąt sześć kilometrów. Do mety zabrakło czterech.

W kolejnym roku pojechałem znowu do Kalisza. Niestety, byłem w gorszej formie. Przebiegłem tylko siedemdziesiąt kilometrów. Tym razem nie mogłem mieć do nikogo pretensji. Najwyżej do siebie samego.

Za trzecim razem pojechałem na bieg do Kalisza, ale nie wziąłem numeru startowego, tylko postanowiłem po prostu dla samego siebie pokonać dystans stu kilometrów. Ponieważ oficjalnie nie startowałem w zawodach, nikt mnie nie mógł „zdjąć” z trasy. Wystartowałem razem ze wszystkimi.

Biegłem trzynaście godzin. Kiedy dobiegłem do mety w Kaliszu, nikogo już na mecie nie było. Mety też nie



było, bo napis „Meta” został zwinięty. Zawody się skończyły. Ale ja miałem satysfakcję. Pokonałem dystans stu kilometrów. Z radości pobiegłem jeszcze do hotelu.

Potem, jeszcze w tym samym roku, poszedłem w góry. Zaliczyłem Rysy. Dwa lata później wystartowałem w wieloetapowym biegu na dystansie stu kilometrów w Zamościu. Pierwszego dnia trzeba było przebiec trzydzieści pięć kilometrów, drugiego dwadzieścia. Trzeciego dnia był tak zwany „etap prawdy” na dystansie trzydziestu kilometrów i czwartego dnia piętnaście kilometrów.



Przeplłynął Śniardwy przed obiadem

LESZNOWOLA W niedzielę mieszkaniec Wilczej Góry Adrian Kociszewski przeplłynął wprawdzie największe jezioro w Polsce z Popielna do Nowych Gut. Pokonanie dystansu 20 km zajęło mu niewiele ponad 7 godzin

**Przeplłynąć Śniardwy**

– Myśl o przeplłynięciu jeziora narodziła się w 1992 roku. Trenując pływanie do triathlonu, kupiłem mapę Śniardw. Bardzo lubię geografie i mam w swojej kolekcji różne mapy. Dwadzieścia pięć lat temu, patrząc na tę mapę, pomyślałem: „Fajnie byłoby to jezioro przeplłynąć”. Ale moje największe pływackie dokonanie to było pięć kilometrów. Ponadto, żeby wystartować do takiego wyczynu, nie wystarczy chcieć. Trzeba to jakoś organizacyjnie przygotować. Potrzebna jest łódź asekurująca, niezbędny jest sponsor, potrzebne są różnego rodzaju zgody i trzeba mieć kogoś, kto wskazywać będzie kierunek, bo na środku jeziora nie widać nic. Żadnego kawałka lądu czy punktu docelowego.

Trzy lata później, kiedy przestałem starować w triathlonie, zostawiłem pływanie i pomyśl o przeplłynięciu jeziora Śniardwy. Ale w 2010 roku Monika, moja żona, namówiła mnie znowu na pływanie. Miałem spore kłopoty z kręgosłupem, a ona uważała, że to dobre lekarstwo na moje dolegliwości.

W maju zacząłem chodzić na basen i dwa lata później na basenie w Piasecznie przeplłynąłem dziesięć kilometrów. Chciałem w ten sposób uczcić 68 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego i oddać cześć moim dziadkom, którzy wtedy walczyli.

Rok później dołożyłem do tych dziesięciu jeszcze sześć kilometrów. Klika miesięcy później przeplłynąłem dystans klasycznego półmaratonu, czyli 21100 metrów. Na dwudziestopięciometrowym basenie to jest ponad osiemset czterdzieści nawrotów.

Pewnego dnia znalazłem w Internecie informację, że nasza mistrzyni pływacka Otylia Jędrzejczak organizuje nocny maraton pływacki pod nazwą „Otyliada”. Natychmiast się zapisałem do startu i na basenie przy ulicy Potockiej w Warszawie w 2014 roku przeplłyną-

łem osiemnaście kilometrów. Zająłem pierwsze miejsce w Warszawie.

Po tym sukcesie pojechaliśmy z żoną do Karwicy, do naszego przyjaciela na Mazury i wybraliśmy się nad Śniardwy do Popielna. Usiadłem nad brzegiem jeziora, spojrzałem przed siebie i wróciła myśl o przeplłynięciu jeziora.

Po powrocie do Wilczej Góry zacząłem przeglądać Internet i myśleć o organizacji tego wyczynu. Znalazłem telefon do pana Bogdana Markiewicza, właściciela hotelu Marina Śniardwy w Nowych Gutach. Powiedziałem mu o swoim zamiarze i usłyszałem: „Panie Adrianie, proszę o telefon za miesiąc”. Za miesiąc zadzwoniłem i ku mojej radości usłyszałem, że propozycja została przyjęta i pan Bogdan proponuje jej realizację w 2015 roku.

W marcu 2015 roku w kolejnej „Otyliadzie” przeplłynąłem 26200 metrów w czasie, który dał mi pierwsze miejsce w Warszawie i siódme w kraju, wśród dwóch tysięcy uczestników. W lipcu miałem zamiar przeplłynąć Śniardwy, ale z powodów rodzinnych musiałem ten start odłożyć.

W następnym roku w marcu znowu wystartowałem w „Otyliadzie”, ale przeplłynąłem tylko 10350 metrów, co uznałem za wynik kiepski.

W tym roku nie było już miejsce na „Otyliadzie” w Warszawie, więc zapisałem się na start w Ożarowie koło Ostrowca Świętokrzyskiego. Płynąłem non stop dwaście godzin. Przeplłynąłem dwadzieścia pięć kilometrów i zająłem trzecie miejsce. Wyprzedziło mnie dwóch dwudziestopięciolatków. Uznałem to za świetny wynik, zważywszy, że ja we wrześniu kończę lat pięćdziesiąt.

W styczniu zatelefonował do mnie pan Bogdan. Powiedział, że w lipcu organizowane będą w Marinie dni pod hasłem „Wiatr, woda i przygoda”. Zaplanował w tej imprezie mój udział i realizację pomysłu przeplłynięcia jeziora Śniardwy.

Ten dzień

– W czwartek 20 lipca pojechaliśmy z żoną do hotelu Marina Śniardwy w Nowych Gutach.

W piątek odbyłem mały trening. Wszedłem do jeziora i przeplłynąłem cztery kilometry w asyście motorówki. W sobotę był pełny relaks.

W niedzielę 23 lipca wstaliśmy z żoną o szóstej rano. Wczesne śniadanie: jajecznica, serek, sałatka. Przed siódmą czekała na mnie załoga łodzi Mazurskich Służb Ratunkowych. Wsiadliśmy na łódź i płynęliśmy przez Śniardwy na drugi brzeg jeziora do Popielna. Muszę się przyznać, że jak zobaczyłem ten dystans, to się przeraziłem. Od Popielna do Nowych Gut jest w linii prostej około dwudziestu kilometrów.

Przed ósmą rano byłem już nasmarowany, ubrany w piankę i gotowy do startu. Punktualnie o ósmej wszedłem do jeziora i ruszyłem. Po pewnym czasie dopłynęła do mnie łódź ratownicza i płynęła po mojej prawej stronie aż do końca. Żona z pieskiem czekała na mnie w Nowych Gutach.

Na jeziorze zaczęła się fala. Nic nie widać, tylko woda dookoła i walka z falą. Nawet nie wiem, kiedy minęło pięć godzin.

Po pięciu godzinach wypłem sok jabłkowy i przegryzłem go batonem energetycznym. Z łodzi dostałem sygnał, że oni już widzą w dali żaglówki, a to znak, że jednak się zbliżamy do brzegu.

Wkrótce i ja zobaczyłem na horyzoncie żagle, bo w Nowych Gutach odbywały się tego dnia regaty. Pomyślałem, że jestem blisko. Jeszcze godzina, półtorej i będzie meta.

Gdy zobaczyłem żagle, to jakbym dostał nowy zastrzyk energii. Przyspieszyłem. Wkrótce zobaczyłem mały stateczek, który wypłynął mi na spotkanie. Na pokładzie była moja żona. Punktualnie o piętnastej wyszedłem na brzeg w Nowych Gutach.



Ogromna radość. Puchar od burmistrza Orzysza, puchar od właściciela Mariny Śniardwy i obiad z żoną, bo zgłodziłem. Dowiedziałem się od żony, że bardzo się denerwowała, bo zanosilo się na burzę, a podczas burzy musiałbym przerwać swój wyczyn.

Coś państwu powiem. W tym moim wyczynie ma swój udział wójt naszej gminy, pani Maria Jolanta Batorycka-Wąsik. To od niej w 2015 roku dostałem karnet na basen. Wykorzystałem go maksymalnie. Dzięki niemu przeplłynąłem dwieście pięćdziesiąt kilometrów. To zaprocentowało. Przeplłynąłem Śniardwy.

Śniardwy to mój Mount Everest możliwości – powiedział nam Adrian Kociszewski. Gotowi byliśmy uwierzyć. Jednak kiedy upłynęło kilkanaście dni od naszej rozmowy i dopytywaliśmy, jaki próg możliwości wyznaczy sobie następnym razem, przyznał, że już mu pomysł chodzi po głowie. Zamierza przeplłynąć Śniardwy z Nowych Gut do Popielna i z powrotem. Jesteśmy pewni, że mu się to uda, bo jego celem jest przekraczanie granic. ■



Scena trzydziesta czwarta

JASIEK

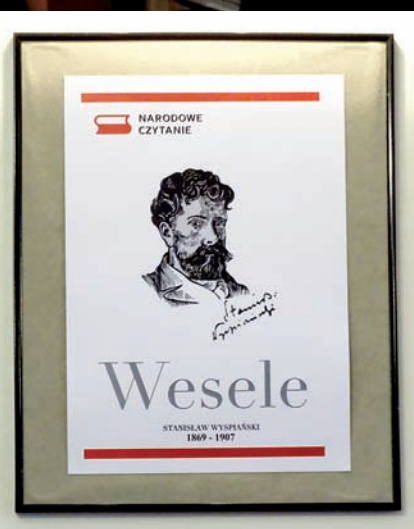
Maryś, panie, panie – Jezu!
Koń w podwórku padł.

Rozglądając się

...Cóż wy – Hanka – Jaga – hej
Cóż wy – cóż to, Jaga – – ej,

Cóż to, co to, czy zakłęci;
stoją wszyscy jak pośnięci;
słysta, Hanuś, Błazek, matuś,
panie młody, Czepiec, tatuś,
panie, cóż to – czy zakłęci;
stoją sycy jak pośnięci;

Aha; prawda, żywy Bóg,
przecie miałem trąbić w róg;
kaz ta, zaś ta, cyli zginot,
cyli mi się ka odwinął –
kajsim zabył złoty róg,
ostał mi sie ino sznur.



Czytamy „Wesele”

Wprawdzie nie była to, jak pisał Stanisław Wyspiański listopadowa noc, wprawdzie izba nie była wybielona na białą, strop nie był „drewniany w długie belki proste z wypisanym na nim Słowem Bożym i rokiem pobudowania”, ale był zastawiony, weselny stół i była muzyka. Były dziewczyny w kolorowych sukniach, barwnych kaftanach przyozdobionych „kрасymi wstążkami”. Byli goście, wspólne śpiewy i tańce.

Wprawdzie na ścianie nie było „zszeregowanych Świętych obrazkowych”, ale był „obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, w utkanej wzorzystej szacie, w koralach i koronie polskiej Królowej, z Dzieciątkiem, które rączkę ku błogosławieniu wzniosło”.

W nastrojowym świetle w Gminnej Bibliotece Publicznej w Magdalence, w sobotę drugiego września odbyło się wspólne czytanie „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. ■



Było grubo po północy, tak jakoś między pierwszą a drugą, gdy na dzwonnicy kościoła św. Marii Magdaleny w Magdalence rozdzwoniły się dzwony. Mieszkający vis-à-vis dzwonnicy Elżbieta i Leszek Markowie zerwali się na równe nogi. Pani Elżbieta zaczęła telefonować do księży, a mąż chwycił jakiś drąg i razem z najbliższym sąsiadem Krzysztofem biegli do kościoła na ratunek...



List kardynała

Ostatnia niedziela sierpnia. Nie, to nie był ten dzień, gdy rozdzwoniły się dzwony, ale był to dla redakcji dzień dość szczególny. Zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się ksiądz Andrzej Grefkowicz, który poinformował nas, że podczas wieczornej mszy będzie czytany list metropolity warszawskiego, księdza kardynała Kazimierza Nycza, do Elżbiety Marek, mieszkanki Magdaleny. Informacja zaintrygowała nas na tyle, że wieczorem, nie mając pojęcia, kim jest Elżbieta Marek, pojechaliśmy do kościoła.

Czekaliśmy do końca mszy i dopiero wtedy, gdy proboszcz parafii ks. Mirosław Cholewa przeczytał list i skierował się w stronę ław, zobaczyliśmy adresatkę listu. Skromną, sympatyczną panią w żółtej sukience. Po mszy umówiliśmy się na spotkanie.

Historia przemilczana

Usiedliśmy do rozmowy przy kawie i ciście ze śliwkami. Ku naszemu zaskoczeniu rozmowa zaczęła się od tekstu z kwietniowego numeru „mojej Lesznowoli”, a konkretnie od opowieści „Tak to życie przeleciało”, w którym przedstawiliśmy relację ze spotkania z panem Januszem Kaźmierczakiem, ps. „Janusz”, starszym strzelcem Armii Krajowej, którego Powstanie

Warszawskie zastało w Magdalence i który wspominał tamten czas.

Jest w tym tekście taki fragment: „Pamiętam, jak przeskakiwaliśmy przez szosę, to co chwilę szły rakiety. Stamtąd nasza grupa z porucznikiem „Adako” udała się do Borowiny. Tam był ogromny, stary las, gdzie gajowym był pan Pieniek. On i jego żona też byli w konspiracji. Jego dwóch synów, Staszek i Piotrek, byli u nas w oddziale. Tam urządziliśmy kwaterę. W lesie, w takim zagajniku wykopaliśmy ziemianki i stamtąd prowadziliśmy działalność dywersyjną”.

Ten gajowy, jak się okazało, był dziadkiem pani Elżbiety, a jego żona, ps. „Mama”, pani Elżbiety babcią. Wymieniony w tekście Piotrek to ojciec pani Elżbiety.

Kiedy czytali w kwietniu tekst o Januszu Kaźmierczaku, przypomnieli sobie tamte czasy i od tego zaczęła się nasza rozmowa. Wiedzieliśmy już, u kogo jesteśmy.

– Tata nigdy nam o tamtych czasach nie opowiadał – mówi pani Elżbieta. – O wszystkim człowiek się dowiadywał dopiero wtedy, gdy bohaterowie umierali – dodał pan Leszek, mąż naszej rozmówczyni.

– Tata z kolegami pierwsi odkryli groby rozstrzelanych w 1942 roku w lesie w Magdalence więźniów z PaWiaka, ale nigdy o tym nie opowiadali. Nie opowiadali



o partyzantce ani o działalności konspiracyjnej. Wiem od babci, że do gajówki często przyjeżdżali Niemcy i zdarzało się tak, że w stodole byli ukryci partyzanci, a babcia Niemców czymś tam częstowała, żeby odwrócić ich uwagę. Mówili, że były to ciężkie czasy, ale unikali jak ognia opowiadania o szczegółach.

Mój tata po dziadku też był gajowym i tak jak dziadkowie niechętnie o tamtych czasach opowiadał. Kiedyś wychodząc z domu, na nasze pytanie, dokąd się wybiera, odpowiedział: „Idę w stronę Katynia”. Ale nie szedł na miejsce, gdzie rozstrzelano więźniów. Miał swoje miejsce pamięci, bo przecież tak jak dziadek brał udział w akcjach wspomnianych przez Janusza Kaźmierczaka.

– Czasem zastanawialiśmy się, dlaczego nam o tym nie opowiadają, ale doszliśmy do wniosku, że takie były czasy – rozwiązuje zagadkę pan Leszek. – Lepiej było cicho siedzieć i nie mówić za dużo.

– Mieliśmy w domu głęboko schowaną książkę o Katyniu. Tata zawsze nas upominał, aby nigdy nie mówić w szkole, że u nas jest taka książka i że my ją czytaliśmy. Zresztą, chyba słusznie tata nas przestrzegał. Pamiętam, jak przybyli do Magdaleny nowi mieszkańcy, państwo

fot. z archiwum prywatnego Elżbiety Marek



Szpunarowie. Babcia zaprzyjaźniła się z nimi. Pan Szpunar był przez długi czas kościelnym i opowiadał, że został cudownie uzdrowiony w sanktuarium w Lourdes. Przywiózł stamtąd jako pamiątkę takie przezrocza z katedrą, siostrą Bernadettą w trumnie i inne, i podarował je babci. Po jakimś czasie, było to w latach sześćdziesiątych, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wędrował po domach. Trafił też do jednego z sąsiadów, o którym wiedzieliśmy, że jest niewierzący.

Tata, pewnie przy kieliszku, powiedział do niego: „Są takie osły, co w Boga nie wierzą”. W kilka dni później zapukali do naszego domu milicjanci z Piaseczna. Kazali wziąć ojcu te obrazki z Lourdes i zabrali go na przesłuchanie do Piaseczna. Pamiętam, że mama płakała i dała tacie przed wyjazdem szczoteczkę do zębów.

Tata wrócił następnego dnia wieczorem. Opowiedział o przesłuchaniu i o tym, że pamiątki z Lourdes „spodobały się” przesłuchującym, i że musiał je na komendzie zostawić. Zwrócili je po kilku tygodniach.

Takie to były czasy. Może dlatego tata był człowiekiem skrytym, bo wiedział, że nie wszystkim można ufać.



Zaczęło się w autobusie

Pani Elżbieta jest z tych okolic, natomiast pan Lech, mąż pani Elżbiety jest z pochodzenia krotoszyńianinem, urodzonym na Mazurach w Starych Jabłonkach. Leśnikami byli jego dziadek, wujek i ojciec.

W 1968 tata pana Leszka dostał pracę w Instytucie Badawczym Leśnictwa w Sękocinie i rodzina zamieszkała na osiedlu przy instytucie.

Elżbieta, córka gajowego, mieszkała wtedy w Magdalence, a Lech, syn innego leśnika, w Sękocinie Lesie, czyli tuż obok Magdalenki. Jest coś, co tych dwoje młodych ludzi połączyło. Autobus PKS z Magdalenki do Warszawy.

Po podstawówce w Lesznowoli i liceum w Piasecznie pani Elżbieta, jako studentka filologii rosyjskiej, jeździła z Magdalenki na Uniwersytet Warszawski.

Pan Lech, jako student wydziału lotniczego na Politechnice Warszawskiej, wsiadał do autobusu na przystanku przy IBL-u. Przez dwa lata jeździli jednym autobusem i nie zamienili ze sobą ani słowa.

– Praktyka była taka – wspomina pan Leszek – że chodziło się na skrzyżowanie Słonecznej i alei Krakowskiej i patrzyło, czy jedzie autobus z Grójca, czy ten z Magdalenki. Jak „Grójec” był przeladowany, to wskakiwałem do autobusu z Magdalenki. Któregoś dnia patrzę, jedzie „Magdalenska”, ale coś za ostro zbliża się do zakrętu. Nic nie zwalnia. Wjeżdża na studzienkę kanalizacyjną, biegnącą przez aleję Krakowską, skacze do góry i wali do rowu. Poszły hamulce.

W autobusie była pani Elżbieta. Wyszła na szczęście z tej katastrofy bez szwanku i udała się na przystanek, gdzie czekając na autobus z Grójca, stał pan Leszek z kolegą, którego pani Elżbieta знаła.



Nie ma co, los tak chciał. Państwo zostali sobie przedstawieni i od tej chwili już jeździli razem. W czerwcu 1981 roku wzięli ślub w kościele w Magdalence i są trzydzieści sześć lat małżeństwem. Mają dwoje dzieci. W lipcu 1981 roku do parafii przybył nowy proboszcz, ks. Andrzej Grefkowicz.

Budujemy domy

– Zaraz po ślubie kupiliśmy działkę i zaczęliśmy budowę domu na ulicy Dębowej w Magdalence – wspomina pani Elżbieta. – Budowa domu trwała kilka lat, bo nie były to lata dla budownictwa łatwe. Wszystko trzeba było zdobywać lub załatwiać. Dom był gotowy do zamieszkania w 1988 roku. Dwa dni przed sylwestrem państwo Markowie się do niego przeprowadzili. Mieszkał w nim trzy lata.

W 1992 roku zaczął się dla Magdalenki złoty czas. Ludzie gnali, by wynająć lub kupić tutaj dom. Pan Leszek właśnie miał kłopoty z okiem. Drobnym wypadkiem spowodował wirusowe zapalenie rogówki i lekarz nie gwarantował, że chorobę da się skutecznie wyleczyć i pan Leszek będzie na oko widział.

– Pamiętam, przyjechałem ze szpitala, siedzieliśmy z żoną na tarasie i przyszły dwie panie, które szukały domu do wynajęcia. Odesłaliśmy je do Bartka, naszego kolegi, a ja mówię do żony: „Słuchaj, dom nie jest jeszcze całkiem wykończony, nie wiadomo, czy będę widział na oko, może go wynajmiemy? Pomieszkamy trochę u twoich rodziców, trochę u moich, zarobimy i zbudujemy nowy dom”. Tak sobie rozmawiamy, a wieczorem wpada do nas Bartek z butelką whisky i mówi: „Wynajęłam dom. – Za ile? – zapytałam. – Za trzy tysiące

dolarów! – odpowiedział Bartek. – A co ja za trzy tysiące dolarów zrobię? – pytam Bartka, a on na to – Trzy tysiące miesięcznie, kolego”. Trzy tysiące miesięcznie to są pieniądze. Szybko przeliczyliśmy, co i jak. Następnego dnia zatelefonowałem do pań, które chciały wynająć nasz dom.

Firma zapłaciła z góry za pół roku, więc wykończyliśmy im dom, a sami przenieśliśmy się na rok do rodziców. Kupiliśmy działkę w Nadarzynie i przymierzaliśmy się do budowy domu.

– To był czas, gdy w parafii w Magdalence rozwijał się ruch Odnowy w Duchu Świętym i ja do tego ruchu należałam – mówi pani Elżbieta. – Podczas rekolekcji dowiedziałam się, że ksiądz proboszcz Andrzej Grefkowicz chce powiększyć teren cmentarza, ale właściciele gruntu przylegającego do cmentarza nie chcą zamiennych działek, tylko pieniądze, więc ksiądz zamierza sprzedać kilka działek z gruntów parafialnych przy kościele.

Ksiądz Andrzej powiedział do mnie: „Kupcie działkę i pobudujcie dom blisko kościoła. – Ale my właśnie kupiliśmy działkę w Nadarzynie i nie mamy pieniędzy – odpowiedziałam.

– To ją sprzedajcie. Ja na pieniądze poczekam”. I... sprzedaliśmy. Ze stratą wprawdzie, ale mogliśmy wrócić do Magdalenki.

– Kupiliśmy działkę vis-à-vis dzwonnicy i zaczęliśmy budować dom. To był 1992 rok i muszę powiedzieć, że prawie sam ten dom zbudowałem – wtrąca pan Leszek. – Mieszkamy w nim już dwadzieścia trzy lata.

Pani katechetka

Pani Elżbieta, jak już wiemy, jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, na którym studiowała filologię rosyjską. Po studiach, a było to w roku 1979, podjęła pracę w Zjednoczeniu Przemysłu Budowy Urządzeń Chemicznych „Chemak”.

Wtedy „Chemak” był liczącym się partnerem na rynku krajów RWPG. Język rosyjski był bardzo pożądany, a pani Elżbieta była sekretarzem polskiej sekcji chemicznej w krajach RWPG. Miała dwadzieścia trzy lata, organizowała posiedzenia międzynarodowych grup w Polsce i krajach RWPG, pracowała jako tłumaczka.

Kiedy jednak założyła rodzinę, pomyślała, że rodzina jest ważniejsza niż wyjazdy, zostawiła „Chemak” i rozpoczęła pracę w IBL w Sękocinie Lesie. W 1982 roku urodził się syn Przemysław, a wkrótce córka Basia. Firma męża dobrze prosperowała, więc pani Elżbieta przestała pracować i z wydatną pomocą obu babć zajmowała się wychowywaniem dzieci, tym bardziej że wtedy państwo Markowie mieszkali razem ze swoimi rodzicami. Mama pana Leszka była nauczycielką języka angielskiego, więc od małego uczyła dzieci języka.

Pani Elżbieta była już wtedy aktywną uczestniczką grupy Odnowy w Duchu Świętym w Magdalence. Ruch ten powstał w 1967 w Stanach Zjednoczonych,





fot. ks. Andrzej Grefkowicz



a w Magdalence – dzięki księdzu Grefkowiczowi. Osoby w nim uczestniczące pracują nad własną wiarą poprzez nieustanne „dążenie do Jezusa poprzez działanie Ducha Świętego”. Jednym z zadań członków ruchu jest ewangelizacja.

Na pytanie o ruch pani Elżbieta odpowiada po swojemu: „To jest formacja, w której człowiek żyje z Panem Bogiem. Nie chodzi o to, że jest wierzący, chodzi do kościoła, modli się. Chodzi o to, że inaczej postrzega ważność spraw. Że na pierwszym miejscu jest Pan Bóg, a nie ja. Że zadaję sobie pytanie, czy to, co robię, będzie się Bogu podobało”.

– Uczestnicząc w kolejnych rekolekcjach, zrozumiałam, że zaczynam inaczej ustawiać swoje relacje z tymi, których najbardziej kocham. Że słowo „przebaczam” nabiera innego znaczenia, gdy pochodzi z serca. Że, może to zabrzmie trochę dziwnie, zmieniają się też relacje z bliskimi, którzy odeszli, zostawiając czasem tzw. „zadrę” w sercu albo zostawiając nas z poczuciem winy.

Niewierzący pójdą w takich wypadkach do psychologa, wierzący do spowiedzi. Tam leczy lekarz specjalista, tu leczy Pan Jezus. Bo spowiedź to nie rozmowa z księdzem. Ksiądz jest tylko pośrednikiem. To rozmowa z Panem Jezusem, który uzdrawia.

Mogliśmy do końca spotkania pozostać przy idei Ruchu Odnowy, bo pani Elżbieta opowiada o tym bardzo ciekawie, ale wracamy w rozmowie do przywołanego na wstępie listu kardynała.

Kiedy dzieci pani Elżbiety miały siedem i osiem lat, zaczęła myśleć o pracy. Do szkół wracała, jako przedmiot religia i ksiądz Andrzej Grefkowicz zaproponował pani Elżbiecie pracę katechетки. Zgodziła się, ale postawiła warunek, że będzie uczyła dzieci młodsze. Rozpoczęła pracę w Zespole Szkół Publicznych w Lesznówoli. Wtedy do parafii przybył nowy wikariusz, ks. Mirosław Cholewa. Przez jeden rok pracowali w tej samej szkole. Wkrótce podjęła teologiczne studia podyplomowe na Uniwersytecie im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego i do końca ubiegłego roku szkolnego, czyli przez dwadzieścia siedem lat była katecheticą. Początkowo uczyła dzieci od przedszkola do klasy trzeciej, a potem do klasy szóstej szkoły podstawowej. Od 1990 roku do 2017 w tej samej szkole.

Lubiła uczyć dzieci i zastanawiać się wspólnie, co zrobiły dobrego, by się Panu Jezusowi podobać, co zrobiły złego, za co wypadałoby przeprosić. Uczyla z przekonaniem, że w tej relacji Pan Bóg – Kościół – dzieci wiele zależy od rodziców, bo to oni przyprowadzają lub nie dzieci do kościoła i oni są pierwszymi świadkami wiary. Mówiła też, że Bóg zawsze znajduje drogę do tych dzieci, których nie ma kto do kościoła przyprowadzić.

– Wieloletnia praca w katechezie to duży trud, ale i ogromna satysfakcja. Radość wychowywania, przekazywania Słowa Bożego i przygotowania dzieci do spotkania z Jezusem w sakramencie pokuty i komunii

świętej. To również zaangażowanie w pracę w szkole, za którą przez ostatnich kilkanaście lat otrzymywałam nagrody dyrektora szkoły.

Ten list gratulacyjny księdza kardynała Kazimierza Nycza odczytany w sierpniową niedzielę przez księdza Mirosława Cholewę, to podziękowanie dla przechodzącej na emeryturę pani Elżbiety za pracę z dziećmi.

Zapytaliśmy pani Elżbiety, co zamierza robić teraz, po katechezie. Odpowiedziała z uśmiechem.

– Mam pewne hobby. Nie tylko coroczne przedstawienia jasełek. Robiłam kukielki i prowadziłam teatrzyk w szkole przez ostatnich kilka lat, kiedy to na nauczycieli nałożono obowiązek przepracowania dwóch darmowych godzin w tygodniu. Szyłam stroje i pisałam scenariusze dla kukielkowego teatrzyku. Potem z uczniami klas IV – VI wystawialiśmy sztuki. Pierwsza, jak pamiętam, to była „Piękna i bestia”. Potem wzięliśmy udział w organizowanym przez GOK konkursie szkolnych teatrów i zajęliśmy trzecie miejsce. Wystawiliśmy też sztukę wg mojego scenariusza o herbie Lesznówoli, wystawiliśmy „Króla Maciusia”, „Dwie Dorotki”, „Królową Śnieżkę” i inne. Wprawdzie w tych moich przedstawieniach nie było mowy o Panu Bogu, ale zawsze jakieś dobre wartości się w nich znajdowały. Najważniejsze, że dzieciom się podobało. Myślę, że jeśli zajdzie taka potrzeba, będę pomagała innej pani robić to w szkole.

A co z tymi dzwonami, które odezwały się nocą?

– Kiedy mąż z sąsiadem biegli ratować kościół, ja

dodzwoniłam się do księży. Zerwani ze snu wyjaśnili, że dzwony na dzwonnicy uruchamia system elektryczny. Ponieważ była chwilowa przerwa w dostawie prądu, system po wznowieniu dostawy na chwilę uruchomił dzwony. Wiedzieli o tym, więc spali spokojnie przyzwyczajeni do głosu dzwonów. Podziękowali za okazaną czujność i chęć niesienia pomocy. Zawsze uśmiechamy się, wspominając tę historię sprzed lat. ■





Przed podróżą

Maluchów, rodziców i gości powitała wicedyrektor szkoły pani Magdalena Rogowska.

„Moi drodzy. Pierwszoklasiści wyruszają dziś razem ze swoimi wychowawczyniami i innymi nauczycielami we wspianą podróż poznawania świata i poznawania siebie. Są z nami dzieci pięcioletnie i sześcioletnie, które poprzez zabawę ze swoimi wychowawczyniami, będą się przygotowywać, by w tę podróż wyruszyć za rok”.

Maluchy ciekawie rozglądały się po sali i widać było wyraźnie, że trudno im było usiedzieć na miejscu. Jedni pewnie nie mogli się doczekać, by w tę podróż wyruszyć, a inni najchętniej poszliby z mamą do domu.

„Rozpoczynamy rok szkolny w miejscu, w którym do 2002 roku funkcjonowała mała szkoła podstawowa. Gdyby ktoś wtedy powiedział, że po latach wrócimy znowu tutaj, trudno byłoby w to uwierzyć. Pragnę, w tym wyjątkowym dniu, z całego serca podziękować wszystkim Tym, którzy mają swój udział w budowie tej nowej szkoły, a naszym najmłodszym życzyć, aby z radością i uśmiechem przekraczali jej próg” – powiedziała wójt gminy Maria Jolanta Batycka-Wąsik. ■



Ale to było wydarzenie! Mamy i tatusiowie po raz pierwszy w poniedziałek 4 września przyprowadzili swoje pociechy do nowej szkoły w Łazach.





Kiedy był nastolatkiem, marzył, by zostać wielkim piłkarzem albo naukowcem. Wybrał to drugie. Profesor dr hab. Jarosław Olav Horbańczuk jest dyrektorem Instytutu Genetyki i Hodowli Zwierząt Polskiej Akademii Nauk w Jastrzębcu. Jest cenionym w świecie specjalistą w dziedzinie genetyki, biotechnologii zwierząt i jakości żywności. Jego pasją naukową są także badania na strusiach. Jest autorem wielu książek o biologii i użytkowaniu strusi wydanych w sześciu językach. Jeździ po świecie, wyklada w wielu krajach i u siebie przyjmuje zagranicznych gości.

Prawdę mówiąc, tę rozmowę planowaliśmy dawno. Chcieliśmy, by tekst o profesorze znalazł się w pierwszym numerze „mojej Lesznowoli”. Niestety, zawodowe obowiązki rzuciły pana profesora za wielką wodę i musieliśmy spotkanie odłożyć. Któregoś dnia jeden z Czytelników powiedział, że chciałby w kolejnym numerze przeczytać o profesorze Horbańczuku, „bo to on przed laty założył piłkarską drużynę Utrata Jastrzębiec i był jej czołowym zawodnikiem”. Od tej strony pana profesora nie znaleźliśmy.

Spotkanie z Jastrzębcem

– Urodziłem się w Chojnicach, w pięknym mieście na Pomorzu – mówi prof. Jarosław Horbańczuk. – Stamtąd pochodzi cała moja rodzina. Tam mamy kamienicę rodzinną i tam w pierwszych dniach wojny mój dziadek – nauczyciel i harcerz – został rozstrzelany w ramach eksterminacji polskiej inteligencji.

Do Jastrzębca przyjechaliśmy pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy mój tata został zaproszony do współtworzenia nowego ośrodka badawczego Polskiej Akademii Nauk.

Tata zajmował się szeroko rozumianym rolnictwem, był aktywnym studentem, wybitnym. Działał w kołach naukowych. W latach 1960 – 1970 Jastrzębiec był państwem w państwie. Tu były telefony, gaz, specjalna infrastruktura. Był basen kąpielowy, który mój tata zbudował, kipiało nowoczesnością i taką fajną atmosferą, bo ludzie się szalenie lubili. Był instytut, przy nim osiedle i chyba najwyższy wskaźnik ludzi z wyższym wykształceniem.

W osiedlu mieszkali młodzi ludzie, którzy przychodzili do insty-

tutu po studiach, a potem po latach szybowali do Warszawy. Ale tutaj był ich początek.

Przed wojną właścicielem Jastrzębca był polityk, senator V kadencji w II Rzeczypospolitej Bolesław Przedpełski. Polski chemik i rolnik, prezes Izby Rolniczej w Warszawie, prezes Związku Inżynierów Chemików RP, wiceprezes Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w Warszawie. Jego synowie żyją do dziś i mieszkają w Ameryce. Odwiedzam tych ludzi. Mają po 90 lat.

Jastrzębiec przed wojną słynął z dobrych koni i ekologicznego mleka nad Utratą, które podobno, choć kosztowało czterokrotnie więcej, co drugi dzień wożono do Warszawy do szpitala dziecięcego na Litewską.

Po wojnie, kiedy majątek przejęło państwo, powstał Instytut Genetyki i Hodowli Zwierząt PAN. Od podstaw budowano laboratoria. Szczytem rozwoju były lata siedemdziesiąte, wiem to z opowieści mojego taty. W instytucie i zakładzie doświadczalnym pracowało ponad pięćset osób. Utrzymywano dobre kontakty z zagranicą.

Tata był nowoczesnym człowiekiem, który wprowadził do diety kukurydzę. Miał też unikalny sposób zarządzania. To był, jak mówią, dobry chłop. Po kilku latach przeszedł do Ministerstwa Nauki i Szkol-

nictwa Wyższego i był dyrektorem departamentu badań. Ojciec rozumiał naukę. Jeździł dużo po świecie. Nie ukrywam, że mieszkając tu przy ojcu, wśród wielu naukowców chłonałem tę atmosferę i powoli nią przenikałem.

Szkoła w Mrokwie

– Do pięknej szkoły w Mrokwie – jak mówił tata – „Akademii Mrokwowskiej”, zacząłem chodzić, gdy miałem sześć lat, i bardzo byłem z tego zadowolony. Nie tylko dlatego, że zdobywałem pierwszą elementarną wiedzę, ale dlatego, że nie miałem tu na wsi żadnej rodziny i musiałem się jakoś w tym środowisku odnaleźć.

Do szkoły poszedłem rok wcześniej i pamiętam, że rodzice przyszli do mnie i tata powiedział: „Synu, jest propozycja, żebyś poszedł od razu do trzeciej klasy”. Byłem tym tak zaskoczony, że mama, widząc moją minę, przyszła z pomocą i powiedziała: „Dzieciństwo trzeba zachować”. Zostałem w pierwszej klasie.

W szkole założyłem drużynę piłkarską. Nazywała się Zorza Mroków. To byli moi przyjaciele, koledzy. Mieliśmy wtedy po 13-14 lat i staraliśmy się dla tej młodzieży zrobić coś dobrego. Mając 17 lat założyłem drużynę Utrata Jastrzębiec.

Byłem wtedy najmłodszym prezesem klubu sportowego. Pamiętam, że nie mogłem dostać regonu, bo nie miałem 18 lat. Wtedy instytut grał w lidze wojewódzkiej. W drużynie grali zawodnicy z całego terenu od Piaseczna do Grójca. Byłem kapitanem drużyny i grałem na pozycji środkowego napastnika przez ponad dziesięć lat.

Szczerze mówiąc, w tym trudnym społeczeństwie od kolegów, którzy starsi byli ode mnie, mieli po dwadzieścia lat, uczyłem się życia. Sport mnie wielu rzeczy nauczył. Hartu ducha, wewnętrznej dyscypliny, konsekwencji, motywacji i radzenia sobie ze stresem i trudnościami. To była twarda i bardzo pozytywna młodzież. Tata też mi mówił: „Załóż ten zespół, żeby ci ludzie robili coś dobrego. Żeby nie niszczyli, nie grandowali”. I powiem szczerze, mam wielką satysfakcję, że się nam udało. Tak na marginesie, to największym sukcesem sportowym Utraty Jastrzębiec było pokonanie w Pucharze Polski trzecioliigowego zespołu KS Piaseczno.

Chciałem być wielkim piłkarzem, ale to było nierealne i mój tata powiedział: „Zastanów się, czy nie szkoda nóg, a może trzeba pracować głową?”.

Trzeba pracować głową





fot. z archiwum prywatnego prof. Jarosława O. Horbańczuka



Poszukiwanie własnej drogi

– Gdy skończyłem liceum w Warszawie, poszedłem na studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego na Wydział Nauki o Zwierzętach. Dlaczego? Dlatego, że zacząłem sobie szukać takiego sposobu na życie, który da mi wartość dodaną. Coś nad. Zawsze byłem otwarty na ludzi. Zacząłem organizować wyprawy naukowe.

Na trzecim roku studiów zorganizowałem wyprawę w Himalaje. Studniowa wyprawa, która szła pod Mount Everest. Zastanawiałem się wtedy, co wybrać? Czym się zająć? Mongolia i tamtejszym środowiskiem, Południową Afryką i strusiami, czy może pójść w Himalaje i badać jaki?

Wymyśliłem „Jaki na himalajskich szlakach”. Wzięliśmy urlopy naukowe. Napisałem pracę magisterską i szukałem oryginalnego zajęcia na życie.

Wyprawa w Himalaje weszła na 5700 m n.p.m. Byliśmy w królewskiej fermie jaków. Nocowaliśmy tam, gdzie zdobywcy Mount Everestu, nowozelandzki pszczelarz Edmund Hillary z Szerpą Tenzingiem Norgayem przygotowywali się do zdobycia szczytu. To była

nasza pierwsza baza. Potem było sto trudnych, ciężkich dni w Indiach i Nepalu. Byłem szefem tej wyprawy. Zorganizowałem też wyprawę do Laponii – krainy reniferów – i wyprawę na Syberię, która zmierzała nad Bajkał.

Zawsze kochałem świat. Dlatego szukałem warsztatu badawczego, który pozwoli mi na poznanie ludzi, kultury, historii. Muszę powiedzieć, że tu piekielne znaczenie miał mój dom rodzinny i nawyki z niego wyniesione.

Kiedy odbyłem te naprawdę fantastyczne wyprawy, zadałem sobie pytanie: „Co robić dalej?”. Tata mówił: „Nauka da ci niezależność”. Skończyłem studia w 1991 roku i pomyślałem, że trzeba zrobić doktorat. Ale czym się zająć? Chciałem czymś oryginalnym.

Jednak strusie

– Mówię: „Jaki nie, może strusie?”. Dlaczego strusie? Dlatego, że w Europie Zachodniej zaczęły powstawać pierwsze fermy strusi, a w Stanach Zjednoczonych były już pod koniec lat osiemdziesiątych. Myślałem, że może zrobiłem błąd, jadąc do Nepalu i w Himalaje. Gdybym postawił na Republikę Południowej Afryki, to wcześniej zajął-

bym się tymi strusiami, tym bardziej że wystąpiło BSE (choroba szalonych krów) i szukano alternatywy dla wołowiny.

Mięso strusi jest czerwone, ma podobne walory smakowe, ale ma też ogromne walory prozdrowotne. Ma kwasy omega-3, ma żelazo, ma pektyny, które są bardzo ważne. Ja o tym jeszcze wtedy nie wiedziałem, ale zacząłem się strusiami interesować.

Był rok 1993 i na Kaszubach, 70 km od moich rodzinnych Chojnic, powstała pierwsza w Polsce ferma strusi. Hodowcy odnosili się do tych zwierząt z wielką rezerwą. Nie bardzo chcieli uczonym wierzyć. Piskłę strusia kosztowało wtedy dwa tysiące złotych. To był majątek. Zostałem wpuszczony na fermę i tak się zaczęło ze strusiami.

Zrobiłem doktorat, ale równolegle zacząłem pracować w instytucie w Jastrzębcu. Doktorat zacząłem robić z zagadnień ekonomicznych, ale w pewnym momencie stwierdziliśmy z tatą, że strusie to jest fantastyczna sprawa. Doktorat na SGGW, potem bardzo szybko habilitacja i profesura (wniosek na tytuł profesora przed czterdziestką). Byłem jednym z najmłodszych w Polsce profesorów. Zajmowałem

się biologią, genetyką i użytkowaniem strusi.

Kiedy zacząłem się zajmować strusiami, uznałem, że trzeba zacząć od dużego C. Strusie są z RPA. Trzeba się dostać do RPA. Nie było to takie proste, bo naukowcy z RPA nie bardzo dopuszczali obcych. Miałem jednak trochę szczęścia. Jeżdżąc na kongresy, poznawałem ludzi, zdobywałem kontakty, przyjaciół i trafiłem na takiego mojego drugiego ojca – profesora Jamesa Hayesa. To był człowiek, który cenił ludzi otwartych. Kiedy wieczorami rozmawialiśmy, a moim drugim konikiem jest historia – generał Wieniawa Długoszewski i marszałek Józef Piłsudski – on mówił: „Przyjedź do mnie do RPA”.

I pojechałem. Hayes był szefem dużego zespołu naukowego i mnie „przytulił”, a ponieważ ja się zajmuję genetyką, a oni w RPA zaniedbali trochę tę dziedzinę, to był jakiś punkt wyjścia. Spędziłem tam kilka miesięcy.

Potem dostałem stypendium ministra spraw zagranicznych i pojechałem do Izraela. Tam nauczyłem się, jak prowadzić wykłady i negocjacje. W latach 2003-2004 byłem z rodziną w Australii, a następnie mieszkałem w Stanach Zjednoczonych. Kilka lat spędziłem poza Polską.

W 2002 roku udało mi się zorganizować w Polsce prestiżowy Światowy Naukowy Kongres Strusi. Wzięło w nim udział pięćset osób, a ja byłem przewodniczącym Komitetu Naukowego i Organizacyjnego. Przyjechał też z Izraela profesor James Hayes. Od tego czasu zacząłem dużo jeździć po świecie. Mam w tej chwili wykłady w blisko pięćdziesięciu krajach na prawie wszystkich kontynentach. Stany Zjednoczone, egzotyczna Kambodża, cała Ameryka Południowa, ale też Chiny, Indie, Brazylia... To są kongresy, na które przychodzi tysiąc albo dwa tysiące ludzi. Przychodzą premierzy i ministrowie. To są spotkania dużej rangi.

Obok RPA dużą bazę, jeżeli chodzi o strusie i badania, mają Chiny.

Chińczycy piekielnie inwestują w naukę i są fantastyczni. Miałem wystąpienie dla premiera Chin, wywiad dla chińskiej telewizji. W tym i w ubiegłym roku spędziłem trochę czasu na uniwersytecie w Kambo-dży na wykładach ze studentami.

Strusie dały mi bardzo dużo. W pewnym momencie zaczęły spływać oferty. Stwierdzono, że moje książki są coś warte. Uważałem, że to dziwne, że chcą je tłumaczyć na język angielski, niemiecki, rosyjski. Okazało się, że moje prace stanowią dzisiaj kompendium wiedzy na cały świat.

Nie wszyscy wiedzą, że Polska od dwudziestu lat ma największy potencjał, jeżeli chodzi o hodowlę. Ze sprzedaży produktów strusich mamy dzisiaj trzykrotnie większe przychody aniżeli z owiec. Posiadamy kilkanaście tysięcy strusi. Mamy ubojnię, infrastrukturę, inkubatory, mamy związek. I tu znowu odwołuję się po raz kolejny do mądrości mojego taty. Bardzo mi go brakuje, bo umarł, mając tylko 61 lat. On mówił tak: „Jak zrobiłeś te strusie, załóż związek. Bo jako związek stanowicie reprezentację, z którą, jeśli pojawią się problemy, będą rozmawiać, i możecie pójść do ministerstwa z każdą sprawą”. I miał rację.

Od 1997 roku struś jest zwierzęciem gospodarczym, traktowanym jako drób użytkowy, i te moje badania wpisane są w ustawy. Dzisiaj jest piękny rynek. Hodujemy strusie, ubijamy je w ubojniach, są kontrakty. Jest kilkanaście ubojni z certyfikatem UE i wysyłamy 99% mięsa do bogatej Szwajcarii, która uważa, że mięso strusie jest lekarstwem, bo ma kapitalne profity kwasów omega-3 i żelaza wysoko przyswajalnego.

Jestem dzisiaj w Europie i świecie nie tylko specjalistą od strusi, ale zajmuję się nutrigenomiką, czyli wpływem diety na nasze geny, a to doskonale wykorzystuje strusie mięso, które jest żywnością funkcjonalną. Udało mi się opublikować na ten temat pracę w „Nature”, w jednym z najstarszych i najbardziej

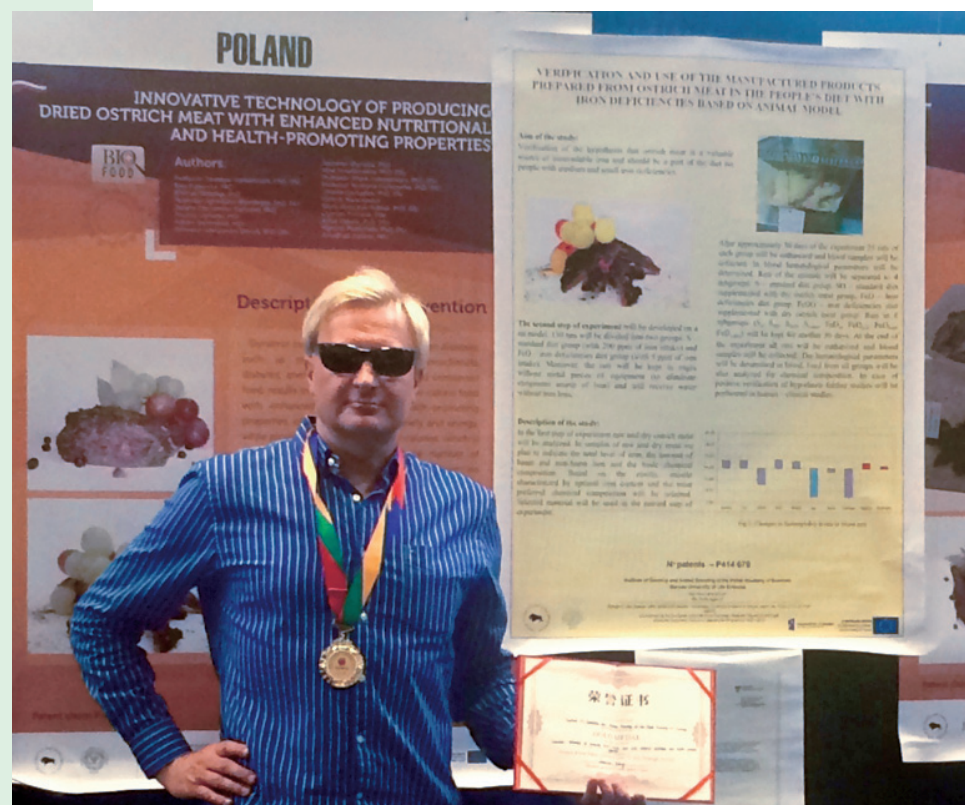
prestiżowych czasopism naukowych – to jest taki Nobel w nauce. Jestem także autorem innowacyjnych technologii prozdrowotnych produktów o cechach żywności funkcjonalnej – 9 patentów – nagrodzonych złotymi medalami na Światowych Wystawach Wynalazczości w Brukseli, Barcelonie i Pittsburghu w USA.

Za wykazanie na modelu zwierzęcym, że mięso strusi jest źródłem wysoko przyswajalnego żelaza i zalecane jest w diecie ludzi z jego niedoborami, dostałem w Stanach Zjednoczonych w zeszłym roku nagrodę, statuetkę za najlepszy patent europejski zgłoszony na największych w Ameryce targach światowych.

W 2016 roku zostałem nagrodzony przez Komisję Odznaczeń Królestwa Belgii do spraw Wynalazczości Krzyżem Oficerskim za szczególne zasługi dla rozwoju wynalazczości europejskiej.

Te moje skromne sukcesy zawdzięczam w dużej mierze mojej rodzinie – żonie Iwonie, synom Ołafowi i Michałowi oraz córce Oleńce. Zawsze mam od nich wielkie wsparcie i pomoc. To dodaje mi siły i wiary do dalszych działań.





Warto wiedzieć

Profesor Jarosław Horbańczuk Instytutem w Jastrzębcu kieruje od 2011 roku, ale niewielu mieszkańców naszej gminy, a także niewielki odsetek Polaków wie, że dzięki pracom profesora Polska stała się liderem europejskiego strusiarnictwa. W instytucie, który dawniej kojarzył się tylko z rolnictwem, prowadzone są tak zwane badania prospołeczne nad poprawą odporności ludzi na różnego rodzaju choroby zależne od diety. Prowadząc badania na zwierzętach, szuka się sposobów skutecznego leczenia chorób takich jak anemia, cukrzyca, choroba Alzheimera, Parkinsona, czy różnego rodzaju zaburzenia neurologiczne i onkologiczne.

Instytut posiada status Europejskiego Centrum Doskonałości w Genomice i Biotechnologii przyznany przez ekspertów w UE w Brukseli. Ponadto, w 2015 roku Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przyznało instytutowi status jednostki wybitnej – Krajowego Naukowego Ośrodka Wiodącego (KNOW). Marzeniem profesora jest stworzenie międzynarodowego instytutu badawczego (i chyba mu się to udało). Już dziś instytut ma jeden z najwyższych w Polsce wskaźników umiędzynarodowienia nauki. Zatrudnia około 30% młodych zdolnych pracowników naukowych z zagranicy, Polaków powracających z zagranicy oraz naukowców, którzy ukończyli studia i doktoraty w Wielkiej Brytanii (nawet Oxford University), Japonii, Szwajcarii, Holandii czy Szwecji.

Profesor Horbańczuk jest w UE w Brukseli przedstawicielem Polski w zespole ekspertów z zakresu nauk o zwierzętach. W uznaniu jego zasług naukowych w 2016 roku został wybrany spośród najwybitniejszych naukowców polskich i zagranicznych na członka Polskiej Akademii Nauk.

Dobrze się stało, że nie spełniło się pierwsze, młodzieńcze marzenie chłopaka z Chojnic. Nie został wielkim piłkarzem. Posłuchał rady ojca. Nauka dała mu niezależność. ■



Sołtys Stefanowa Zenon Wójcik wrócił z pikniku rodzinnego po trzeciej nad ranem. Przyszedł na plac zabaw na róg Malinowej i Granicznej, gdzie piknik się odbywał pierwszy i wyszedł z żoną ostatni, jak już wszystko było posprzątane. Tak rozumie bowiem obowiązki gospodarza.

Piknik w Stefanowie

Dziewiątego września na niewielkim placu wszyscy bawili się świetnie. Rodzinna atmosfera, wspaniała kuchnia, bo nad grillem czuwała uczestniczka programu MasterChef, mieszkanka Stefanowa Dorota Panfil, o której pisaliśmy w styczniu („Droga do MasterChefa”), zajęcia dla dzieci, zespół Mrokowiacy na estradzie, kapela przygrywająca do tańca i wspaniała tego dnia pogoda stworzyły warunki do dobrego odpoczynku.

Boczek, kaszanka i kielbasa z grilla były po trzy złote za porcję, a biała kielbasa z warzywami i kofta, czyli szaszłyk z mięsa mielonego, pięć złotych za porcję. Apetyty dopisywały, bo na świeżym powietrzu i w dobrej atmosferze tak jest zawsze.

Kolejny piknik przeszedł do historii, a my namówiliśmy państwa Wójcików do wspomnień. Najpierw chcieliśmy wiedzieć, jak się robi piknik. Okazało się, jak to bywa w dobrym małżeństwie, że najpierw pan Zenon uzgadnia sprawę z żoną Elżbietą, bo nikt z uczestników pikniku nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ogromną pracę taka decyzja za sobą pociąga.

– Powiem otwarcie – wyznaje pan Zenon – bez żony nie byłoby żadnego pikniku. Nikt nie rwie się do roboty, a my chcemy, żeby wszystko było zrobione perfekcyjnie, bo tylko wtedy i mieszkańcy, i my będziemy zadowoleni. Jak żona zgodzi się wziąć na siebie ten

ogrom obowiązków organizacyjnych, to ja zgłaszam wniosek na radzie sołeckiej. Rada większością głosów aprobuje wniosek i wtedy ustalam datę i załatwiam, z kim trzeba pogodę. Uzgadniamy sprawy z Gminnym Ośrodkiem Kultury, przedstawiamy, co chcemy mieć i koszty imprezy. Zawsze mogę liczyć na pomoc Dariusza Kwiatkowskiego i Henryka Popławskiego, a także braci Jerzego i Zbyszka Szelańców.

– Potem ja wszystko to co ustaliliśmy, muszę sama kupić – mówi pani Elżbieta. – Obliczyć ile będzie potrzeba lizaków, ile cukierków, ile ciastek, bo u nas jest tradycją, że musi starczyć dla wszystkich i to jest gratis. Podczas pikniku pomagają mi koleżanki. Zimą, kiedy urządzamy dla sołectwa kulik, darmowe są jeszcze napoje gorące. Gorąca czekolada, kawa i herbata. Pierwszy piknik rodzinny zorganizowaliśmy w 2009 roku przy okazji otwarcia placu zabaw.



Moje Stefanowo

Działkę w Stefanowie państwo Wójcikowie kupili w 1982 roku. Cztery lata później postawili szklarnie i wzięli się za produkcję kwiatów. Na pytanie, jakie wtedy było Stefanowo, pan Zenon odpowiada z westchnieniem.

– To była rozpacz. Żona, jak tu pierwszy raz podjechalśmy pod bramę gospodarstwa, nie chciała wysiąść z samochodu. Zapytała mnie tylko: „Gdzie ty mnie przywiozłeś?”. Tu nic nie było. Na placu stała licha, bez dachu obórka przyklejona do domu i parę starych, drewnianych szopek. Na środku był kierat i klepisko. Było też kilka zdziczałych jabłoni i wszystko było zarosnięte dzikimi bzami, z którym walczyłem przez trzy lata.

We wsi było kilka domów i polne drogi. Tam gdzie dziś jest wytwórnia przypraw „Kamis”, stały kurniki.

Pusto wszędzie, głucho wszędzie a wieczorem ciemno wszędzie. Ani dróg, ani latarni. Kiedy my i sąsiad postawiliśmy szklarnie, wieś trochę odżyła.

Ponieważ szklarnie były ogrzewane węglem, to żużel wywoziłem na drogi, osuszałem je i równałem. Jak spadł deszcz, to od ulicy Ułanów stała siedemdziesięciometrowa kałuża. Trzeba się było przeżegnać, wrzucić jedynekę i uważać, by broń Boże silnik nie zgasł. Od naszej ulicy Leśnej w prawo były ogromne dziury, a przy Malinowej było takie torfowisko, że jak traktor tamtędy przejechał, to już nikt nie śmiał jechać, bo by tak wpadł w błoto, że i traktorem by go nie wyciągnęli. Kolejiny miały po siedemdziesiąt centymetrów głębokości.

Jak przez kilka lat wywożąc ten żużel na drogi, udało się je doprowadzić do stanu przejezdności, to otwarto tu kopalnię piachu i rozjechano drogi tak, że samochody urywały tłumiki.

Na ulicy Ułanów były trzy latarnie, słabe lampy na Uroczej w kierunku radiostacji i dwie, trzy lampy po drodze do kurników, gdzie dziś jest „Kamis”. Jak wybudowano „Kamis”, to od alei Krakowskiej wybudowano do niego drogę asfaltową. Autobus z dziećmi dojeżdżał tylko do „Kamisu”. Dalej nikt nie chciał jeździć, bo dalej była „droga wojenna”. Dziura na dziurze. Stefanowo, o czym dowiedziałem się później, było potocznie nazywane „Ukrainą”. Tak tu było.

– Kiedy poprzedni sołtys Stefanowa zrezygnował z sołtysowania, zaproponowano kandydowanie mężowi – wspomina pani Elżbieta. – Mąż pomyślał i zadał obecnej pani wójt pytanie: „Co z tego będzie miała wieś, że ja zostanę sołtysem? Ja nie potrzebuję nic, ale wieś potrzebuje wiele. – Wszystko zależy od tego, jak się pan będzie starał – odpowiedziała pani wójt”.

– Pierwsza sprawa to dokończenie ulicy Malinowej od „Kamisu” do ulicy Granicznej. Potem oświetlenie – wymienił na szybko pan Zenon. – W 2005 roku, dokładnie pierwszego lutego w wyborach uzupełniających zostałem sołtysem.

Droga została zrobiona w ciągu następnego roku. W 2006 roku przed wyborami była gotowa. Potem jakoś udało się doprowadzić do naprawy innych dróg. Utwardzania i zakładania oświetlenia. Tu były egipskie ciemności. Kobiety, które o piątej rano wychodziły z domów, żeby dostać się do pracy w Piasecznie, szły po ciemku i wracały po ciemku. Bardzo się bały i mówiły: „Panie Zenku, koniecznie trzeba zrobić oświetlenie, bo strach chodzić”.



Zaczęliśmy zakładać oświetlenie na całej ulicy Granicznej, potem na Ułanów, dalej uzupełniliśmy oświetlenie Malinowej i po kolei światło trafiało na inne drogi.

W kolejnych wyborach zostałem wybrany do Rady Gminy. Kiedy było już po czym jeździć i kiedy zapaliły się latarnie, Stefanowo zaczęło się zaludniać. Nikt z nowych mieszkańców by dziś nie uwierzył, że na ulicy Cichej był tylko jeden budynek, a dziś wszystko jest zabudowane. Na Uroczej były dwa gospodarstwa – Luczaka i Makowskiego. Dziś cała ulica jest zabudowana. Na Wspólnej podobnie nic nie było. Na Wesołej też nic nie było i chodziliśmy tam na grzyby. Nie było ulicy Ogrodowej ani Przyleśnej. Nie było ulicy Polnych Bratków.

Dziś mieszkańcy sąsiednich wsi zazdrozczą nam dróg, oświetlenia, czystości i ciszy. Coś Państwu powiem. Po skończeniu kanalizacji, bo już podłączony jest główny kolektor, ulica Malinowa będzie aż do Granicznej taka, jak ulica Uroczą. Stefanowo będzie jedną z najładniejszych wsi w naszej gminie. ■





żeby tak rozwiniąć skrzydła

– Mam od czterdziestu lat swój ulubiony ołówek z grafitem 0.3 mm, który idealnie pasuje do ręki. Jakbym go zgubiła, to byłoby największe nieszczęście. Tym ołówkiem po cichutku stawiałam kreseczki jedna obok drugiej, jedna obok drugiej, i marzyłam...

W bajkowym osiedlu w Krzywej Iwicznej, w małej, urokliwej Cafe Muffin, z obrazka wiszącego na ścianie patrzy na klientów bajkowy, kolorowy kot („moja Lesznowola” nr 8 – „Moje miejsce na ziemi”). Postanowiliśmy znaleźć jego właścicielkę albo, jak kto woli autorkę, która bajkowego kota namalowała. Ulicą Do Rynku trafiliśmy do mieszkania Marka i Katarzyny Mrzygłód–Czyż. Na leżance w ogródku spał kot. Nawet na nas nie spojrzał. Podła, kocia natura. Za to pies przywitał się entuzjastycznie.

Chcę tu mieszkać

Kiedy pani Katarzyna i jej mąż pierwszy raz znaleźli się na terenie osiedla, a było to kilka lat temu, nie było tu jeszcze tak bajkowo. Osiedle dopiero się budowało.

– Trafiliśmy tu jakoś przypadkowo – opowiada pani Katarzyna. – Była już część osiedla, tu stała bardzo stara wiejska chałupa i przy chałupie – resztki sadu. Błoto było po kolana, wszystko, jak to na budowie było rozgrzebane i rozjeżdżone, a ja patrzyłam na dom, który stał naprzeciwko.

Patrzyłam i słyszałam, jak mi coś w środku wołało: „Jak ja bym chciała tu mieszkać”. Stałam, patrzyłam i wdychałam: „Boże, jak ja bym chciała tu mieszkać”.

Ale cofnijmy się w czasie. Mieszkałam z rodzicami na Dolnym Mokotowie w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze w kamienicy z lat 50. o wysokim, stromym dachu. Wtedy wpadłam na pomysł zaadoptowania strychu na pracownię – jako absolwent ASP miałam prawo do dodatkowej powierzchni.



Po trzech latach pracy powstało mieszkanie – pracownia, na czwartym piętrze bez windy. Korony wysokich topól miałam za oknami i z początku było fajnie, ale potem ten brak windy, to wchodzenie po schodach zaczęło mi doskwierać.

Tuż po studiach biegałam po tych schodach jak fryga, ale z czasem trzeba było zwolnić. Wysłałam za mąż, lata leciały i mieszkało się super. Gdyby tam była winda, to chyba byśmy się na przeprowadzkę nie zdecydowali, tym bardziej że obok ulicy Idzikowskiego mieliśmy działkę pracownią. Śmiałam się, że mam willę na bardzo wysokiej, trzypiętrowej podmurówce z ogrodem oddalonym o kilka kilometrów.

Potem już nie było do śmiechu, bo jak to w życiu nieuchronne, najpierw zmarł tata, potem mama i w naszej willi na trzypiętrowej podmurówce zrobiło się smutno.

Doszłam do wniosku, że dobrze byłoby mieć bliżej ogródek, że zawsze poza kotami chciałam mieć psa i... zaczęliśmy się rozglądać za czymś takim.

Pojechaliśmy oglądać domek w Starej Iwicznej na Kieleckiej i trafiliśmy znowu na to osiedle. Mówię: „Przecież ja już tu kiedyś byłam”. Wprawdzie domów było więcej, stara wiejska chałupa zniknęła, drzewa też, ale już niczego nie szukaliśmy. Postanowiliśmy tu zamieszkać.

To był rok 2011. Mojego strychu nie można było łatwo sprzedać, bo to był strych dla specjalnego amatora, a o takich było trudno. Przychodzili, oglądali, cmokali i... odchodzili. W końcu powiedziałam do męża: „Marek, jak do końca roku tego nie sprzedamy, to zostajemy. Nie wyprowadzamy się”. Aż któregoś dnia przyszli młodzi ludzie, sympatyczne małżeństwo z „długimi nogami”, których nie zraziło czwarte piętro, i klamka zapadła. Byłoby właściwie świetnie, gdyby nie to, że na początku roku zwolnili mnie z pracy. Pracowałam jako grafik w telewizji, ale nastał czas grafików komputerowych. Likwidowano więc tradycyjną pracownię graficzną, w której każdą planszę, każdą literkę rysowaliśmy ręcznie.

Byłam za młoda, by odejść na wcześniejszą emeryturę, więc na początku 2012 musiałam się z telewizją pożegnać.

Wszystko zaczynało się od nowa. Piękna perspektywa. Nowy dom, nowa praca – szkopuł jeden. Ja na razie bez pracy i bez pieniędzy.

– I dobrze ci to zrobiło – wtrąca pan Marek – bo zaczęłaś malować to, co lubisz. Robić to, czego już od lat, od czasu dyplomu na ASP nie robiłaś.

Trudne, życiowe wybory

Jak to się stało, że pani Katarzyna wybrała studia na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, na wydziale grafiki, a nie śladem taty, znanego radiowo-telewizyjnego dziennikarza sportowego Jerzego Mrzygłoda, nie poszła na dziennikarstwo?

– Wszystkie moje zeszyty w szkole podstawowej były ozdobione pięknymi szlaczkami. Gdyby przeglądać je od końca, to ostatnie strony były zarysowane postaciami modelek. Oglądałam wtedy w telewizji różne festiwale piosenki i rysowałam każdą występującą osobę.

Był to także czas, gdy bardzo chciałam zostać lekarzem weterynarii. Chciałam leczyć zwierzęta, lecz praktyczna strona zawodu mnie przeraziła. Za miękkie serce, więc ten pomysł zarzuciłam, ale miłość do zwierzątek pozostała.

Mój tata, jak się pewnie domyślacie, chciał ze mnie zrobić sportowca. Koniecznie łyżwiarzkę figurową. Ganiał mnie na te łyżwy, ale byłam za wysoka, więc zostawiliśmy łyżwiarstwo i wzięliśmy się za pływanie. Natychmiast dostałam uczulenia na chlor, więc basen poszedł w odstawkę. Mój organizm bronił się przed pomysłami taty, jak mógł. Wbrew jego zainteresowaniom wybrałam piłkę ręczną – taka przekorna natura.

Piłka ręczna nie bardzo szła w parze z rysowaniem. Paluszki od piłki powybijane do rysowania nadają się jak najmniej, więc odstawiłam piłkę ręczną i doszłam do wniosku, że poza rysowaniem do niczego się nie nadaję. Zaczęłam rysować i chodzić na różne zajęcia w kółkach plastycznych, żeby to rysowanie doskonalić.

Po maturze chciałam pójść do łódzkiej szkoły plastycznej na projektowanie odzieży, ale ponieważ do szkoły podstawowej poszłam wcześniej, niż wiek nakazywał, maturę zrobiłam w przewidzianym czasie, bo nieźle się uczyłam i nie powtarzałam żadnej klasy, to do tej Łodzi bym się wybrała, mając zaledwie osiemnaście lat. Sama do obcego miasta? Ja, taka nieśmiała, do obcych ludzi, w nieznanne środowisko? Miałam coraz mniej ochoty i coraz więcej obaw i wątpliwości. Wtedy moi rodzice zapytali: „A ty na warszawską ASP nie możesz spróbować? Co ci szkodzi? Spróbuj. Nie dostaniesz się, nic się nie stanie. Jesteś młoda, masz czas”.

Spróbowałam. Zdałam za pierwszym razem i tak zaczęłam studia na ASP, na wydziale grafiki u profesora Janusza Stannego. Po dyplomie przez trzydzieści lat pracowałam w TVP na Woronicza.



Kolorowy kot

I w tym miejscu wróciliśmy do kolorowego kota, który patrzył na nas w Cafe Muffin w Krzywej Iwicznej, i do 2012 roku, kiedy to Katarzyna i Marek znaleźli się po raz drugi na tym osiedlu.

– „Jak tu pięknie. Jak tu wiejsko” – myślałam sobie. Nie było wokół sąsiadów, cisza dzwoniła w uszach. Oczyma wyobraźni już widziałam, jak na święta Bożego Narodzenia w naszym nowym domu stawiamy wielką do sufitu choinkę, zapraszamy ze czterdzieści osób – całą rodzinę z przyległościami – i świętujemy radośnie.

Ale nie było choinki do sufitu i nie było rodziny. Leżeliśmy chorzy, bo jak tylko opuściliśmy Warszawę i przeprowadziliśmy się na wieś, zaczęliśmy chorować. Jak Marek wychodził z choroby, to następnego dnia ja zaczynałam. Tak było przez cały pierwszy rok. Wiejskie powietrze nie było nam przyjazne do tego stopnia, że zaczęłam żałować tego kroku. „Co myśmy zrobili, za co to wszystko?” – marudziłam.

– W rankingu stresujących zdarzeń przeprowadzka jest zaraz po rozwodzie, więc pewnie to była ta przyczyna – wtrąca pan Marek i oboje wybuchają śmiechem.

– Było, na szczęście minęło i dziś śmiejemy się, że mieszcuchy nie mogły zaadaptować się w nowym środowisku. Szkodziło nam zdrowe powietrze.

Wracamy do kota, ulubionego tematu prac pani Katarzyny, do ulubionego od czterdziestu lat ołóweczka i do cieniutkich kreseczek.

– To było tak, że jak wszyscy w domu poszli spać, ja zaczynałam stawiać te kreski ołówczkiem, czasem do rana. Gdybym ten ołóweczek zgubiła, to byłoby wielkie nieszczęście. Wymieniam cieniuteńkie wkłady i jestem do niego bardzo przywiązana. Rysowałam te kreseczki jedna przy drugiej i tak marzyłam, a może by tak rozwinąć skrzydła. Namalować coś wielkiego. Bardzo wielkiego.

Ale najpierw, któregoś dnia, wzięłam rysunek kota i poszłam do Cafe Muffin. „Iza – mówię nieśmiało – mam tu takiego kota. Może bym go u ciebie powiesiła?”. Zachwyciła się, więc wkrótce powiesiłam w kawiarence drugi mój obrazek, a Iza zaproponowała, bym się „rozwinęła na całą ścianę”. No to się rozwinęłam. Obydwie miałyśmy z tego powodu radość. Iza miała udekorowane ściany, a ja od czasu do czasu amatorów na te obrazki.

Zaczęłam się rozwijać na tyle, że zdecydowaliśmy z Markiem, by zrobić znowu na strychu pracownię. Najbardziej zmotywował mnie syn koleżanki ze Szwecji, który postanowił dorosłość spędzić w Polsce i urządził tu mieszkanie. Powiedział mi: „Ciotka, ty mi namaluj ze trzy duże obrazy”. Ja tu maluję moje koty, kobiety z kotami, a on chce wielkie „dzieła” o rozmiarach półtora na dwa metry. Postawiłam oczy w ślup i mówię: „Kubuś, ja takich rzeczy nigdy nie malowałam”.



No, ale skoro marzyłam, żeby rozwinąć skrzydła, zgodziłam się. Stałam przed tym wielkim płótnem i zaczęłam się rozwijać. Do salonu miał być energetyzujący obraz w kolorach żółci i czerwieni. Do sypialni spokojny, seledynowo-turkusowy, a do gabinetu fioletowo-szmaragdowy, ale taki... taki energiczny.

Wykonałam dzieła i Kubuś był zachwycony. Mówił, że kto przyjdzie i zobaczy, też się zachwyci. Od tamtego wydarzenia odstawiłam więc swój ołóweczek i wzięłam się za pędzle.

Dostałam kilka zamówień do Szwecji i „po sąsiedzku”. Nasze osiedle jest tak klimatyczne, że wiele osób przychodzi tu na spacer. Przy okazji kawka w Cafe Muffin i rzut oka na moje obrazy. A ja co jakiś czas zmieniam dekorację ścian w kawiarni.

I tak, dzięki bajkowemu kotu ze ściany w Cafe Muffin, moje obrazy wędrują z Krzywej Iwicznej w świat, a my z Markiem zostajemy z naszym kotem Myszkim i psem Yogim, ciesząc się, że wybraliśmy to miejsce. ■





Najpierw był długa tradycyjna kolejka po losy, a potem jeszcze dłuższa kolejka po odbiór fantów. Na twarzach stojących w ogonku widać było zadowolenie, wynikające z przekonania, że każdy los wygrywa.

A potem

„Wielka Loteria Fantowa” to od lat stały punkt programu pikniku rodzinnego organizowanego przez OSP w Mrokowie pod hasłem „Strażacy po pracy”. Przez wiele godzin strażacy uwijali się, sprawdzając losy i wydając fanty. Do godziny osiemnastej, a loteria ruszyła o trzynastej, sprzedano cała pula – 4850 losów. Hurtownicy kupowali po kilkadziesiąt, bo za każde pięć kupionych losów była premia w postaci 10 kg ziemniaków. Do wygrania był czarny, sześćdziesięciokilogramowy knur, koza, paczki z przyprawami „Kamis”, odzież, torby i plecaki, rośliny, słodycze i wiele, wiele innych niespodzianek. A ponieważ stanie w kolejce wyczerpuje, dla pokrzepienia ciała była również tradycyjna strażacka grochówka i gorące kiełbaski z grilla.

Na scenie Capoeira, czyli pokaz brazylijskiej sztuki walki i nieco prostszy pokaz zajęć aktywności fizycznej przygotowany przez „Salus” – Centrum Rehabilitacji i Aktywności Fizycznej. Do uprawiania sztuk walk wschodu zachęcał wielokrotny złoty medalista tej dziedziny sportu Michał Borawski, o którym pisaliśmy w siódmym numerze „mojej Lesznowoli”.



Dzieci mogły próbować swoich sił w jeździe na kucyku, a także przekonać się, jak to jest być w balonie puszczonym na wodę. Mogły usiąść za kierownicą prawdziwego wozu strażackiego lub po prostu pojeźdźać na zjeżdźalni. Atrakcji było wiele, a potem... zawyły syreny.

Święto strażackie nie może się przecież obejść bez pokazu strażackich umiejętności. W tym roku do gaszenia pożaru przystąpili najmłodszy ochotnicy. Młodzieżowa drużyna pożarnicza. Pożar na szczęście udało się sprawnie ugasić i strażacy weterani mogli być dumni ze swoich następców.

Coroczny strażacki piknik rodzinny w Mrokowie zakończony zabawą taneczną przeszedł do historii. ■



Nie tylko powidła

Te najpopularniejsze to oczywiście węgierki, ale są też małe mirabelki i duże renklody, są śliwki brzoskwińowe i niewielkie lubaszki. Koniec lata i pierwsze jesienne miesiące to pora dojrzewających śliwek.

Zapach smażonych powideł będzie roznosił się z niejednej kuchni. Podobno te najlepsze udają się tylko z prawdziwych, dojrzałych węgierek, a ich sekret tkwi w niepowtarzalnym smaku.



Śliwki są owocem wszechstronnym. Zarówno świeże, jak i suszone stanowią idealny dodatek do mięs, ciast, sałatek i sosów. Sprawdzają się zarówno w wersji wytrawnej, jak i słodkiej. Oprócz walorów smakowych mają też wiele innych cennych właściwości. Regulują trawienie, poprawiają apetyt i humor, chronią przed wolnymi rodnikami. I choć śliwki suszone posiadają więcej błonnika i witaminy niż świeże owoce, pozostawmy je na zimowe dni. Dziś kilka przepisów na śliwki prosto z drzewa.

SAŁATKA ZE ŚLIWKAMI I NIEBIESKIM SEREM

SKŁADNIKI

8-10 śliwek, 250 g liści szpinaku, garść rukoli, 100 g orzechów włoskich, 150 g niebieskiego sera
Sos: 1/4 szklanki oliwy, 1 łyżka miodu, 2 łyżeczki octu balsamicznego, szczypta soli, sok wyciśnięty z połówki cytryny

Na talerzu rozłóż umyte liście szpinaku i rukoli. Ser pleśniowy pokrój w kostkę i rozłóż na liściach. Śliwki umyj i pokrój w ćwiartki, usuwając pestki. Rozłóż na talerzu. Wszystko posyp orzechami włoskimi. Oliwę wymieszaj z miodem, octem balsamicznym, sokiem z cytryny i szczyptą soli. Polej sałatkę.

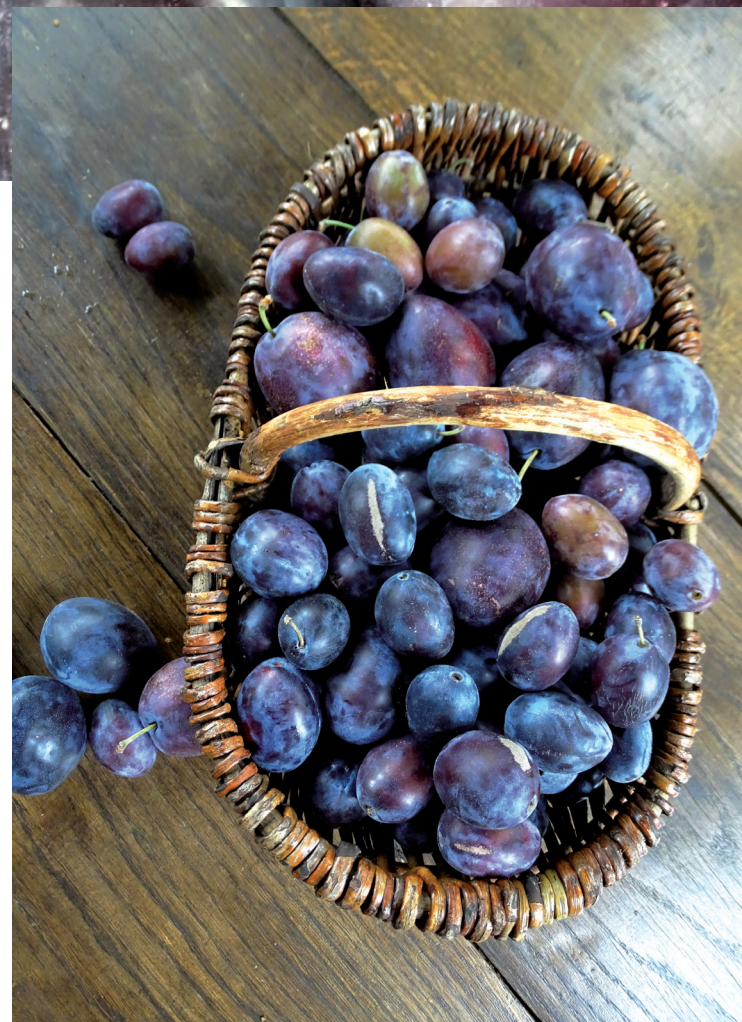


ŚLIWKI W CIEŚCIE FRANCUSKIM

SKŁADNIKI

opakowanie ciasta francuskiego, ok. 20 śliwek węgerek,
1 żółtko, cukier trzcinowy gruboziarnisty (lub zwykły), cynamon

Śliwki umyj, pokrój na połówki i usuń pestki. Ciasto pokrój na kwadraty trochę większe od połówki śliwki. Każdy kawałek posmaruj rozmąconym żółtkiem, oprósz cynamonem i cukrem (cukier zwykły jest słodszy od trzcinowego). Na środku każdego kwadratu ułóż połówkę śliwki skórką do góry. Ciastka ułóż na blasze wyłożonej pergaminem. Włóż do nagrzanego do 180 stopni piekarnika i piecz aż ciasto urosnie i stanie się rumiane.



RACUCHY ZE ŚLIWKAMI

SKŁADNIKI

0,5 kg śliwek, 300 g mąki, 5 dag drożdży,
3 jajka, cukier i sól do smaku, 1,5 szklanki
ciepłego mleka

Śliwki oplucz, pokrój na pół i wyjmij pestki. Każdą połówkę pokrój na mniejsze kawałki. Oprósz niewielką ilością mąki. Zrób rozczyn z drożdży, łyżki mąki, cukru i dwóch łyżek ciepłego mleka. Odstaw i poczekaj aż wyrośnie. Do miski przelej jaja, mleko, dodaj cukier, odrobinę soli, śliwki i wyrośnięty rozczyn. Dosyp tyle mąki, by ciasto było dość gęste. Przykryj ściereczką i odstaw wszystko na pół godziny. Na rozgrzany na patelni olej nakładaj ciasto. Smaż racuchy z dwóch stron, aż nabiorą złotego koloru.



NALEWKA ŚLIWKOWA DLA CIERPLIWYCH

SKŁADNIKI

1 kg śliwek węgerek, 10 dag suszonych śliwek bez pestek, 40 dag cukru, 3 dag rodzynek, laska wanilii, 0,5 l spirytusu, 0,5 l wódki 40%

Umyj śliwki i wydryluj. Zostaw kilka razem z pestkami. Wrzuć wszystkie do gąsiorka lub słoja. Posyp cukrem. Dodaj rodzynek i śliwki suszone. Zalej spirytusem, zakręć i odstaw na trzy tygodnie. Po tym czasie zlej nalew. Do owoców dodaj przekrojoną na pół laskę wanilii. Zalej wszystko wódką i odstaw na dwa tygodnie. Przelej wszystko przez sito. Wyciśnij dobrze owoce. Połącz obydwie nalewy (ten z wódką i ten ze spirytusem). Zamieszaj i odstaw na tydzień. Teraz wszystko przefiltruj, przelej do butelek, zakręć i czekaj pół roku, aż nabiorą w spiżarni właściwego smaku.

KURCZAK W SOSIE ZE ŚWIEŻYCH ŚLIWEK

SKŁADNIKI

500 g śliwek, 500 g filetów z piersi kurczaka, 2 łyżki cukru, płaska łyżeczka skrobi ziemniaczanej, 2 łyżki oleju, 1/3 szklanki wody, sól, pieprz, 1 łyżeczka soku z cytryny, 1 łyżeczka sosu sojowego, słodka i ostra papryka w proszku, cynamon

Piersi z kurczaka oplucz i pokrój w duże kawałki. Na patelni rozgrzej olej. Mięso oprósz solą, pieprzem i słodką papryką. Smaż z obu stron, a następnie przełóż do innego naczynia. Na tej samej patelni przesmaż umyte, wydrylowane i pokrojone śliwki. Następnie dodaj wodę, przykryj i dusić kilka minut. Potem do śliwek dodaj sok z cytryny, cukier i sos sojowy. Duś wszystko przez parę minut, aż składniki się połączą, a sos lekko zredukuje. Dodaj kurczaka. Dopraw do smaku solą, cynamonem i sporą ilością papryki. Rozmieszaj skrobię z łyżeczką wody i dodaj do kurczaka. Potrzymaj na gazie przez chwilę. Podawaj z ryżem.

A photograph of a forest floor. In the center, a tree stump is heavily covered in vibrant green moss. Several large, flat, bracket-shaped fungi with reddish-brown tops and white edges are growing on the stump and the surrounding ground. The background shows a dense forest of tall, thin trees with green foliage, with sunlight filtering through the canopy.

LAS

*„Ścieżka biegnie boso do lasu. W lesie jest dużo drzew, kukulka,
Jaś i Małgosia i inne małe zwierzątka. Tylko krasnoludków nie ma,
bo wyszły. Jak się ściemni, sowa zamyka las dużym kluczem, bo
jakby się tam zakradł kot, toby dopiero narobił szkody”.*

Zbigniew Herbert